

Ruch Generała

Pociąg zatrzymał się i Generał zeskoczył na ziemię. Przez kłęby buchającej od lokomotywy pary dojrzał krępą postać krasnoludzkiego maszynisty, który już krzątał się dookoła czterokrotnie odeń wyższych kół, z sobie tylko znanych powodów waląc z furią w brudny metal młotem o bardzo długim trzonku.

Generał zamachał laską, powstrzymując swego adiutanta od podbiegnięcia do torów, i podszedł do krasnoluda.

– Chyba wszystko w porządku?

Tamten spojrział, sapnął, odłożył młot. W czarnej od sadzy twarzy błyskały żółtawe białka. Dziko spleciona broda krasnoluda posiadała aktualnie barwę smoły i zapewne dałoby się z niej wycesać z pół szufli węgla. Maszynista sięgnął gdzieś pod ów bujny krzak zarostu, wyjął papierosa i zapalki, zapalił, zaciągnął się.

– Wszystko w porządku, Generale – rzekł, uspokoiwszy już nerwy.

Generał zerknął na zegarek, który wyciągnął z lewej kieszeni kurty.

– Kwarta do drugiej. O półtoorej klepsydry szybciej niż zapowiadaliście. Nieźle.

Krasnolud parsknął dymem; rozżarzony czerwono papieros, wetknięty gdzieś w środek tej ciemnej gęstwy, gdzie znajdowały się usta maszynisty, na moment zajarzył się jeszcze mocniej.

– Nie o to chodzi. Pomocnika mam do dupy. Generał będzie spokojny, „Demon” ciągnie jak cholera, mógłby nawet szybciej.

– Wolalbym raczej więcej wagonów.

– Też da radę.

– No. To świetnie. Cieszę się. – Poklepał krasnoluda po ramieniu swą lewą dłonią (zaślniły kamienie, błysnął metal), na co krasnolud wyszczerzył w uśmiechu krzywe zęby; ale Generał patrzył już gdzie indziej, na adiutanta mianowicie, który mimo wszystko zbliżał się do nich.

Generał pożegnał się z maszynistą i wszedł pod okap węglowej szopy. Kołysząca się pod jej dachem lampa naftowa ciskała po okolicy blade cienie.

Major Zakraca wyprężył się i regulaminowo zasalutował: obcasy razem, cholewy na wysoki połysk, lewa dłoń na rękojeści szabli, prawe ramię wyrzucone energicznie w przód i w górę.

– Dajże spokój, Zakraca, nie jesteśmy na defiladzie.

– Tak jest, generale.

Po czym przeszedł w równie regulaminowe „spocznij”.

Generał po prostu nie mógł sobie dać rady z Zakracą; nawet nie próbował zmieniać nawyków oficera, przypuszczalnie zostaną mu one już do śmierci. Jako nastoletni kadet Akademii Wojny, Zakraca wybrał się wraz ze swą drużyną na wycieczkę w Góry Zmierzchu – mieli wolny miesiąc, chcieli sprawdzić prawdziwość legend, wydawało im się to odpowiednią rozrywką dla przyszłych dowódców armii. Z całej drużyny przeżył jeden Zakraca: wizytujący akurat osiadłego w okolicy znajomego nekromantę Żelazny Generał uratował chłopca dosłownie wyrywając go ze szponów smoka. Generał, który i tak był bohaterem dla każdego z urwickich kadetów, w oczach młodego Zakracy awansował wówczas na co najmniej półboga. Zakraca dorósł, trzasnęła mu trzydziestka – lecz w jego prywatnej teogonii wciąż nic się nie zmieniło.

– No więc?

– Jest źle. Iluzjoniści Pełzacza otworzyli nad miastem Żabie Pole. Ludzie oglądają. Ptak leje

książęcych ile wlezie.

– Warzhad miał wydać dekret.

– Nie wydał.

– Jasny piorun. Co mówi?

– Jego Królewska Wysokość nie zamierza uciekać się do stosowania cenzury – wyrecytował z kamienną twarzą Zakraca. – Powinien pan jednak, generale, zabierać ze sobą lusterka, byłby pan na bieżąco, polte'y nigdy do końca pewne.

– Niech zgadnę, kto mu podpowiedział, co zamierzać: Birzinni, prawda?

– Premier nie opuścił Zamku od dwóch dni – odparł Zakraca.

Generał uśmiechnął się ponuro.

– Masz konie?

– Za składem.

– Więc do Zamku.

•

Jadąc, wyliczał spodziewany czas dotarcia poszczególnych oddziałów na pozycje. Teoretycznie dane konieczne dla przeprowadzenia podobnych kalkulacji pozostawały zmiennymi nieaproxymowalnymi: na przykład taki Nex Pluciński, jako głównodowodzący Armii Południe, gdyby tylko zechciał, byłby w stanie opóźnić całą operację o trzy-cztery dni. Kolej żelazna sama z siebie niczego nie przesądzała, cały osiągnięty dzięki niej zysk czasowy mógł zostać łatwo zmarnotrawiony przez jedną niefortunną rozmowę na Zamku.

Przemknęli przez Lasek Wieczorny i wypadli na Królewskie Błonie. Otworzyła się przed nimi panorama Czurmy, stolicy Zjednoczonego Imperium, od starożytności siedziby królów na Havrze. Luna od światła miasta gasiła gwiazdy, które i tak w większości przesłaniało Żabie Pole. Dwumilionowa metropolia ciągnęła się dziesiątkami węgów wzdłuż zatoki o kształcie ły. W czystych wodach oceanu przeglądała się krwawa klęska wojsk Księstwa Spokoju. Generał spoglądał na naniebną iluzję, usiłując, mimo niewygodnego skrótów perspektywicznego, zorientować się w bardziej szczegółowym przebiegu bitwy. Wzięte to było z punktu widzenia lecącego ponad Żabim Polem orła bądź sokoła (a najpewniej sępa). Co jakiś czas wpadały jednak w transmisję dłuższe i krótsze wstawki ze zbliżeń, gdy trwał jakiś wyjątkowo zacięty pojedynek, wyjątkowo krwawa rzeźba bądź wyjątkowo efektowne magiczne starcie.

Kiedy włączyła się reklama Składów Kowalskiego, Generał spytał Zakracę:

– Kto jeszcze to sponsoruje?

– Jawnie: stali klienci Pełzacza. Sumak, Folszyński, bracia Que, Kompania Południowa, Holding STC. Nie wiem natomiast, kto wszedł z powodów politycznych; jeśli w ogóle wszedł ktokolwiek, bo może nie było potrzeby.

– Ilu ludzi Pełzacza to trzyma?

– Ohoho, chyba wszyscy. Tam już się tłuką ładnych parę klepsydr, a leci to non stop.

– Napuścili nawet dżinny.

– Mhm?

– Tylko się przypatrz: żaden rydwan nie wchodzi im w wizję. Musieli położyć blokadę. Znowu pół miasta będzie się procesować. Pełzacza na pewno dostał od kogoś po cichu w łapę, w żaden sposób nie zwróciłoby mu się podobne przedstawienie z samych reklam.

– No... nie wiem. Pan zobaczy na tarasy, balkony, dachy, generale. Pan zobaczy na ulice. Mało kto śpi. To nie jest bitwa o byle wiochę, tam Ptak rozdeptuje Księstwo. Frekwencja, że pozazdrościć. Pełzacza na pewno doi ich wszystkich ile wlezie. Na dodatek sukinsyny mają szczęście, bo oba księżyce akurat są pod horyzontem i jakoś obrazu udała im się jak z lustra.

Wpadli na przedmieście. Tu już musieli zadzierać głowy, by nie stracić z widoku toczącej się na nocnym nieboskłonie bitwy. Przez Żabie Pole przewalało się piekło: smoki płonęły w locie, otwierały się w ziemi wulkany, tryskała lawa, ludźmi rzucało na setki łokci w górę, rozdzielana przestrzeń zwijała ich w obwarzanki i strucle, potem odwijala w drugą stronę, i na nice, metamorficzne potwory ścierały się ponad głowami piechoty, snopy światła z ustawionych na wzgórzach dookoła Pola latarni tartyjskich krzyżowały się, łączyły, wyginały i rozszczepiały, indywidualne pojedynki urwitów przeradzały się w szalone pokazy magicznych fajerwerków, urwici w ułamkach knotów wyładowywali w walce moc, umiejętności i doświadczenie zebrane w ciągu całego swego życia, rośli pod chmury i kurczyli się niżej ździebeł trawy, rzygali ogniem, wodą, gazem, nicością, ciskali na wrogów huragany śmiertelnych przedmiotów, lawiny niszczących energii, i równocześnie bronili się przed analogicznymi ich atakami.

Biedota ze slumsów, leżąc bezpośrednio na ziemi bądź na rozciągniętych na niej kocach, komentowała głośno przebieg pojedynków, nagradzała zwycięzców i przegranych gwizdami, oklaskami, przekleństwami.

Wyjechali na Górną Willową, Generał pokazał: w prawo. Zatrzymali konie przy sześciopiętrowym „Zajeździe Gonzalesa”. Stajenny zabrał wierzchowce, przeszli na zaplecze. Starzec prowadzący interes wynajmu rydwanów stuknął cybuchem fajki w nocny cennik. Generał skinął na Zakracę; major zapłacił.

Okazało się, że zajazd dysponuje tylko jednym wolnym rydwanem, pozostałe jeszcze nie wróciły albo nie nadawały się do użytku.

– Zamek – rzekł Generał dzinnowi rydwanu, ledwo usiedli i zapięli pasy.

– A konkretnie? – spytał dzinn ustami umieszczonej na przedpiersiu płaskorzeźby, już unosząc pojazd w powietrze.

– Górny taras na Wieży Hassana.

– Ten taras jest zamknięty dla...

– Wiemy.

– Jak szanowni panowie sobie życzą.

Wyprysnęli ponad niską zabudowę przedmieścia. Zamek majaczył na horyzoncie czarną pięścią wbitą głęboko w gwiazdoskłon. Wyniesiony w górę na stromej kolumnie skały na blisko pół węża, spieczony z jednej bryły kamienia-niekamienia przed niespełna czterystu laty, trwał ponad Czurumą w nieziennej i niezmiennalnej formie, służąc kolejnym królom Zjednoczonego Imperium jako dom, twierdza, pałac oraz centrum administracyjne. Generał doskonale pamiętał ten dzień, gdy Szarchwał uaktywnił wreszcie latami konstruowane zakłęcie, wyszarpując z wnętrza planety gigantyczny blok gorącej lawy i formując go pośród ulewy i grzmotu piorunów, w przesłaniających wszystko kłębach gorącej pary – w wysniony pradawnym koszmarem Zamek.

Spikowali na Wieżę Hassana, wielki paluch czarnej budowli wskazujący aktualnie środek Żabiego Pola. Poziome słupy światła, bijące z wieży na wszystkie strony przez mniejsze i większe okna oraz inne otwory, czyniły z niej filar jakiegś na pół materialnej drabiny jasności. Rydwan wleciał w jeden z najwyższych jej szczebli, wyhamował i osiadł miękko na wysuniętej w przepaść szczęce tarasu.

– Jesteśmy – rzekł dzinn. – Mam czekać, czy mogę już wrócić?

– Nie czekaj – rzekł Zakraca sięgając do kieszeni. – Ile?

– Dwa osiemdziesiąt.

Zanim major zapłacił, Generał był już przy wejściu do hali postojowej. Zerknął po raz ostatni w niebo. Chroniona sferycznym ugięciem przestrzeni piechota Ptaka Zdobywcy odcinała właśnie wojskom Księstwa Spokoju ostatnią drogę odwrotu.

•

– Głównodowodzący Armii Zero, generał urwitów Zjednoczonego Imperium, dożywotni członek

Rady Korony, dożywotni senator Zjednoczonego Imperium, honorowy członek Rady Elekcyjnej, królewski doradca, dwukrotny regent, Strażnik Rodu, Pierwszy Urwita, rektor Akademii Sztuk Wojny, kawaler orderów Czarnego Smoka i Honoru, siedmiokrotny Kassitz Mieczy, fordeman Zamku, hrabia Kardle i Bładyga, Rajmund Kaesil Maria Żarny z Warzhadów!

Generał wszedł i popatrzył na odźwiernego. Odźwierny zamrugał. Generał nie opuszczał wzroku. Odźwierny usiłował się uśmiechnąć, ale dolna warga zaczęła mu drżeć. Generał stał i patrzył.

– Dajże spokój, jeszcze padnie nam biedaczyna na serce – mruknął pierwszy minister Birzinni, wertując zalegające stół papiery.

– Ciebie też tak zapowiadał?

– Ja nie jestem Żelaznym Generałem, nie mam ośmuset lat, moje tytuły nieco mniej liczne.

– Nieco.

– Widziałeś? – spytał zagłębiony w przysuniętym do otwartego okna fotelu król, wskazując brodą niebo nad Czurumą.

– Widziałem, Wasza Wysokość – przytaknął Generał, podchodząc doń. Bogumił Warzhad palił papierosa, strzepując popiół do ustawionej na kolanie popielniczki w kształcie muszli. Na parapecie przy jego lewym łokciu stało jedno z lusterek dystansowych, odbijając obraz Sali Rady pałacu Księcia Spokoju w Nowej Plisie; rubin głosu lustra był wyciśnięty. Na owej Sali panował chaos nie mniejszy, niż na Żabim Polu.

– Skurwysyn Ptak ma szczęście jak jakiś pieprzony Gurlan. – Warzhad rozgniół papierosa, zaraz wyjął z papierošnicy i zapalił następnego. – Jebanemu Szczuce trzasnęła faza i Ptak uderzył dokładnie wtedy, pół klepsydry urwici cholernego księciunia szli bez wsparcia, połowa zdechła z niedotlenienia. Ni chuja nie pojmuję, czemu ten dupogłowy Szczuka się nie cofnął. Co, do kurwy nędzy, złoto mają zakopane pod tym zasranym Żabim Polem, czy jak?

Dla nikogo nie było tajemnicą, iż język, jakim posługuje się na codzień młody król, dość daleko odbiega od standardów obowiązujących w arystokratycznych sferach, wszelako obserwowane w nim od jakiegoś czasu natężenie niecenzuralnych wyrazów wskazywało na lichy – i wciąż pogarszający się – stan nerwów władcy.

– Tłumaczyłem Waszej Wysokości – odezwał się znad trójwymiarowej projekcji pola walki odwrócony do monarchy plecami Nex Pluciński. – Nie zdążyliby na czas otworzyć kanałów w nowym miejscu.

– Ale urwici Ptaka też by nie zdążyli! – wrzasnął Warzhad. – Więc co za różnica?

– Ptak ma ćwierćmilionową armię – rzekł cicho królowi Żelazny Generał. – Jemu o nic innego nie chodzi, jak właśnie o wykluczenie z walki urwitów. Wdepcze książęcych w ziemię samą masą rzuconego do ataku wojska.

– Dłaczego my i Ferdynand nie mamy ćwierćmilionowych armii?

– Bo to nieopłacalne – westchnął Birzinni, pieczętując jakiś dokument.

– Pierdolonemu Ptakowi, żeby go szlag, najwyraźniej się opłaca.

– Ptakowi też się nie opłaca. Dlatego musi podbijać.

– Nie byłbym tego taki pewien – mruknął Generał.

– Więc sami, kurwa, nie wiecie, i jeszcze mnie mydlicie oczy! A ogłoszmy, cholera, powszechny pobór do wojska, niech się sukinyśn zdziwi! On ma ćwierć miliona? Ja będę miał pieprzony milion! A co! W końcu to Imperium, nie jakieś północne zadupie! Gustaw, ile było w ostatnim spisie?

– Sto dwanaście milionów czterysta siedem tysięcy dwieście pięćdziesiąt siedem pełnoletnich obywateli, Wasza Wysokość – odparł natychmiast Gustaw Lamberaux, Sekretarz Rady, któremu w głowie siedziało pięć demonów.

– A ile ma ten cały Ptak, mać jego plugawa?

– Tego on sam zapewne nie wie. Ludność zamieszkującą podbite przezeń ziemie ocenia się na dwieście piętnaście do dwustu osiemdziesięciu milionów.

– Aż tyle?! – zdumiał się Warzhad. – Skąd się wzięło tyle tego robactwa?

– Na Północy panuje bieda, Wasza Wysokość. Mnożą się w bardzo szybkim tempie – zakomunikował Lamberaux, sugerując oczywiste logiczne powiązanie tych dwóch faktów.

– To jest naturalne ciśnienie demograficzne – rzekł Generał przysiadając na parapecie przed królem, laskę kładąc przez biodro, lewą dłoń na jej gałce. – Prędzej czy później taki Ptak musiał się przydarzyć. Niesie go fala przyrostu naturalnego, jest niczym błyskawica wyładowująca energię burzy. To jeszcze twój pradziadek wydał dekret zamykający granice Imperium przed imigrantami. Bogacz jest bogaczem jedynie dopóty, dopóki ma przy sobie dla zobrazowania kontrastu nędzarza. To dlatego tak absurdalna wydaje się ofensywa Ptaka, gdy się patrzy na mapę: jego ziemie przy ziemiach Imperium i sojuszników wyglądają jak, nie przymierzając, pchła przy smoku. Ale to jest zły punkt widzenia.

– A jaki jest dobry, hę?

– Dobry jest taki: niecałe siedemset lat temu całe dzisiejsze Imperium to była Czurma, zatoka, Wyspa Latarni, co poszła na dno podczas Dwunastoletniej, i okoliczne sioła. Oraz baron Anastazy Warzhad, który miał odwagę podnieść rebelię w środku Wielkiego Pomoru. A caryca Yx spojrzała na mapę, zobaczyła pchłę przy smoku, i odwlekła wysłanie wojska.

– A cóż to za analogie poronione? – zirytował się Birzinni, skończywszy jakąś krótką rozmowę przez swoje lusterko. – Że co? – że my jesteśmy taki kolos na glinianych nogach? A Ptak z tą jego barbarzyńską zbieraniną to przyszłe Imperium?

– O tym możemy się przekonać tylko w jeden sposób – rzekł spokojnie Generał. – Czekać. Ale czy naprawdę chcesz mu pozwolić zbudować to swoje imperium?

– Ty po prostu masz skrzywioną perspektywę. – Birzinni zamachał w stronę Generała zdezaktywowanym lusterkiem. – To przez te wszystkie twoje czary: żyjesz i żyjesz i żyjesz, jeszcze jeden wiek, jeszcze jeden, historia całych państw zamknięta pomiędzy młodością a starością; choćbyś chciał, nie zmienisz tej skali.

– Dla królów – powiedział Generał patrząc Warzhadowi prosto w błękitne oczy – jest to najwłaściwsza ze skal, najwłaściwsza z perspektyw. Musimy uderzyć teraz, gdy Ptak związany jest w Księstwie. Bez podchodów, bez macania, całą potęgą. Wejść na niego przez Przełęcz Górną i Dolną, wejść z zachodu Mokradłami, i desantem morskim w K'da, Ozie i obu Furtwakach; i powietrznym, rozkładając mu system zaopatrzenia. Teraz, zaraz.

Warzhad odrzucił papierosa, zaczął obgryzać paznokcie.

– Mam go zaatakować? Tak ni z tego, ni z owego, bez powodu?

– Powód masz. Najlepszy z możliwych.

– Jaki?

– Dzisiaj Ptak jest do pokonania.

– Wojny chcesz?! – krzyknął Birzinni, wznosząc ręce ponad głowę i budząc tym swoim krzykiem drzemiącego przy kominku ministra skarbu, Saszę Querza. – Wojny?! Agresji na Ligę?! Oszalałeś, Żarny?!

Od bardzo dawna nikt już do niego nie zwracał się inaczej jak „Generale”, ewentualnie „panie hrabio”, nawet kolejne metresy, i teraz Żelazny Generał wbił swój lodowato zimny wzrok we wzburzonego premiera.

Birzinni cofnął się o krok.

– Ja nie jestem odźwiernym! Daruj sobie te sztuczki! Mam demona, nie zuroczysz mnie!

– A żebyście ocipiali, cisza mi tu!! – rozdarł się król Bogumił Warzhad, i istotnie cisza zapadła natychmiast.

– Ty, Generał – król wskazał go palcem. – Ja sobie przypominam: ty już od jakiegoś czasu próbujesz mnie podjudzić przeciwko Ptakowi. Jeszcze chyba w Oxfeld usiłowałeś wymusić na mnie zgodę na pociągnięcie tej krasnoludzkiej żelaznej drogi pod Przełęcz. Od dawna to planujesz. Ja mówię! – potrząsnął palcem. – Nie przerywać, kurwa, kiedy król mówi! Nie wiem, co ty sobie wyobrazasz! Od wieku nie miałaś żadnej porządnej wojny, więc marzy ci się jakaś krwawa rozróżba, co? Nie zamierzam przejść do historii jako ten, który rozpętał głupią, niepotrzebną, bezsensowną i niczym nie sprowokowaną wojnę! Słyszysz mnie?

– On tę kolej i tak wybudował – rzekł Birzinni.

– Co?

– Tę drogę żelazną krasnoludów.

– Za moje własne pieniądze – mruknął Generał. – Ani grosza z państwowej kiesy nie wziąłem.

– Boże drogi, co tu się dzieje? – zachnął się Warzhad. – Czy to jest jakiś spisek szalonych militarystów?

– Ja nie wiem, czy to się stanie jutro, czy za rok, czy za lat dwadzieścia – powiedział Generał wstając z parapetu. – Ale wiem, mam tę pewność, że w końcu Ptak uderzy i na nas. A wtedy – wtedy to będzie jego decyzja, jego wybór, i chwila dogodna dla niego. Brońmy się, póki jeszcze możemy, póki jeszcze sytuacja jest korzystniejsza dla nas.

– Chciałeś powiedzieć: dla ciebie – warknął Birzinni.

Generał wsparł się twardo na lasce, zacisnął szczęki.

– Oskarżasz mnie o zdradę?

Premier w kontrolowany sposób okazał zmieszanie.

– O nic cię nie oskarżam, jakże bym śmiał...

Siwowłosy minister skarbu ocknął się na dobre.

– Czy wyście wszyscy rozum potracili? – zaskrzeczał. – Birzinni, ty chyba na łeb ze schodów zleciałeś! Żelaznego Generała o zdradę posądzasz? Żelaznego Generała...?? Toż on miał więcej szans na przejęcie korony Imperium, niż ta korona ma gwiazd! Jeszcze o twoich pradziadkach się nie śniło, kiedy on wieszal za nieposłuszeństwo i spiskowanie przeciwko królowi! Dwa razy był regentem; czy choć o dzień opóźnił przekazanie pełni władzy? Dwa razy jemu samemu proponowano tron, ale odmawiał! Z głów usieczonych przezeń zdrajców ułożyłbym stos wyższy od Wieży Hassana! Tyś się tyle razy przy goleniu nie zaciął, ile jego próbowali zabić, właśnie za wierność koronie! Dwie rodziny stracił w buntach i rebeliach! Blisko tysiąc lat stoi na straży rodu Warzhadów! W ogóle nie byłoby już dziś tego rodu, gdyby nie wyratowani przez niego osobiście twoi przodkowie, Bogumił. Ty się cieszyć, że masz przy sobie takiego człowieka, bo żaden inny władca na Ziemi nie może się poszczycić tak wiernym poddanym; którego wierności może być tak pewnym. Już prędzej w siebie bym zwątpił, niż w niego! – Co powiedziawszy, Querz ponownie zasnął.

Aby uciec spod ich kosych spojrzeń, jakie skierowali na niego zirytowani tak nieprzyzwoicie szczerą przemową ministra skarbu, Generał wycofał się w ciemny kąt sali i usiadł w ustawionym tam pod rzeźbą gryfa fotelu wyłożonym czarną skórą. Laskę przełożył przez uda, rękę opuścił symetrycznie na oparcia, choć, rzecz jasna, o żadnej symetryczności nie mogło tu być mowy, bo wzrok patrzących zawsze uskakiwał ku lewej dłoni Generała. To była ta słynna Żelazna Ręka, Magiczna Dłoń.

Od ośmiu wieków nieustannie doskonalący się w swych urwickich sztukach – zanim jeszcze w ogóle powstała definicja urwity, zanim został generałem, zanim uruchomił tajemne mechanizmy swej długowieczności – już wtedy, na samym początku, słynął był z owej inkrustowanej klejnotami i metalem kończyny. Legenda głosiła, iż oddając się ciemnym kunsztom (a podówczas były to kunszty uznawane za bardzo, bardzo ciemne) wdał się Żarny w konszachty z Niewidzialnymi tak potężnymi, że nie mógł już nad nimi zapanować, i gdy podczas kolejnego z nimi spotkania doszło do kłótni, istoty zaatakowały go.

Wielkim wysiłkiem woli pokonał je i cudem przeżył; wszelako utraciwszy w walce władzę nad lewą ręką, nie mógł już jej odzyskać. Zorientowawszy się rychło w nieskuteczności wszelkich znanych form kuracji, aby nie pozostać inwalidą do końca życia (które miało się przecież okazać tak długie), zdecydował się mimo wszystko uciec do magii: implantował sobie zatem w odpowiednich miejscach ręki, dłoni, palców rubiny psychokinetyczne. Odtąd nie mięśnie i nie nerwy poruszały i zawiadywały martwą kończyną, a działało się to bez jakiegokolwiek ich pośrednictwa, samą mocą myśli Żarnego. Tym sposobem *de facto* przekształcił on część swojego ciała w magiczny artefakt. Sarkający na półśrodku i rzadko zatrzymujący się w pół drogi, i tym razem nie cofnął się Żarny ze ścieżki, jaka się przed nim po owej operacji otworzyła. Nastąpiły kolejne implantacje, kolejne magiczne machinacje, transformujące ramię i dłoń w potężny i coraz potężniejszy, skomplikowany i wciąż się komplikujący, wielozadaniowy semiorganiczny mageokonstrukt. Ten proces bowiem wciąż się jeszcze nie zakończył; minęły tymczasem wieki i wieki, a on trwał. Wychylająca teraz z cienia rękawa kurty dłoń Generała wyglądała niczym tętniący jakimś zimnym, nieorganicznym życiem splot metalu, szkła, drewna, kamieni szlachetnych, twardszych od nich nici – oraz, jednak, ciała. Według legendy jedno skinienie palca Generała równało z ziemią niezdobyte twierdze; według legendy zaciśnięcie owej pięści zatrzymywało serca wrogów, ścinało im krew w żyłach. Ale to była legenda – sam Generał wszystkiemu zaprzeczał.

Ręka spoczywała nieruchomo na oparciu fotela. Generał milczał. Nie pozostało mu już nic do powiedzenia; żyjąc tak długo potrafił rozpoznać chwile zwycięstw i momenty klęsk, bardzo precyzyjnie wazył szanse i nie mylił mało prawdopodobnego z po prostu niemożliwym. Siedział i patrzył. Król nerwowo palił kolejnego papierosa. Premier Birzinni, stojąc przy wielkim, okrągłym stole zajmującym środek komnaty, konferował szeptem z dwoma swymi sekretarzami, nieprzerwanie stukając przy tym paznokciem w leżące obok lusterko dystansowe. Sasza Querz chrapał. Ogień w kominku trzeszczał i huczał. Pod przeciwległą ścianą Nex Pluciński i jego sztabowcy, na podstawie raportów zwiadowców, przekazywanych za pośrednictwem podwieszanej ukośnie pod sufitem baterii luster (dwanaście na dwanaście), aktualizowali sytuację militarną, zobrazowaną w trójwymiarowej projekcji ziem granicznych Księstwa i Ligi. Jeden z ludzi Orwida, odpowiedzialny za podtrzymywanie i odpowiednie przekształcanie tej iluzji, drzemał na krześle za lustrami; drugi, selektywnie włączający i wyłączający na żądanie ich fonię, stał pod popiersiem Anastazego Warzhada i ziewał. Szepty premiera i sekretarzy, sztucznie tłumione głosy zwiadowców, monosylabiczne pomruki sztabowców, furkot ognia, szum nocy – wszystko to działało usypiająco, nic dziwnego, że stary Querz faktycznie przysnął. Generał wszelako od czterech dni obywatel się bez snu i także teraz nie zamierzał rezygnować z magicznych stymulatorów. Zerknął na zegarek. Prawie trzecia.

Wszedł Orwid z Brudą, szefem dalwidzów.

Birzinni uciszył swoich sekretarzy.

– Co jest?

Orwid zamachał ręką.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z Ptakiem.

– Więc?

– Generał chciał wiedzieć.

– Skoro jednak fatygowaliście się osobiście...

Bruda uśmiechnął się blado do skrytego w cieniu Generała.

– Znaleźliśmy ją – rzekł doń.

Król zmarszczył brwi.

– Kogo?

– Planetę Generała – wyjaśnił Orwid podchodząc. – Wasza Wysokość z pewnością pamięta. To było tuż po intronizacji Waszej Wysokości. Uparł się i zagnał mi ludzi do przeszukiwania kosmosu.

– Ach, prawda... – Warzhad pomasaował w roztargnieniu czubek wydatnego nosa. – Słoneczna Kłątwa. Holocaust. Druga Ziemia. No tak. I co, faktycznie trafiliście na nią?

– Tak jest – skinął głową Bruda. – Prawdę mówiąc, już zwątpiliśmy. Generał przedstawił bardzo zgrabną argumentację, statystyka i miliardy gwiazd i w ogóle: niemożliwe, żeby nie było ani jednej planety o parametrach wystarczająco zbliżonych do Ziemi... Ale właśnie na to wyglądało. Dopiero dzisiaj...

– No, no, no – król wykrzywił się do Generała. – Znowu, cholera, miałeś rację, niech cię szlag. I co teraz zrobimy z tym odkryciem, a?

– Jak to co? – podniecił się Orwid. – To jasne, trzeba tam polecieć i przejąć ją w posiadanie w imieniu Waszej Wysokości, jako część Imperium!

– Gdzie to właściwie jest? – spytał Generał.

– Druga planeta numeru 583 ze Ślepego Łowcy. Nie widać z naszej półkuli. Około dwunastu tysięcy szłogów.

– No, kochany Generale – wyszczerzył się premier – nosi cię i nosi, wojny byś chciał, ruchu, akcji – masz okazję. Bierz statek i leć. Cóż za przygoda! Generał Odkrywca! Jak ją nazwiesz? Czekał, zaraz ci wystawię pełnomocnictwa królewskiego namiestnika i gubernatora ziem przyłączonych. – Od razu złapał za lusterko i wyszczerzył doń odpowiednie rozkazy.

Generał przeniósł wzrok na króla.

– Nie sądzę, żeby to był odpowiedni czas na podobne wycieczki – rzekł.

Orwid wygrzebał z kieszeni pryzmat iluzyjny, położył na stole i wymamrotał kod wyzwalający. W powietrzu rozwinął się trójwymiarowy obraz planety. Kilкома słowami Orwid powiększył go i podniósł.

– Ładna, nie? – Obszedł planetę dookoła, przyglądając się jej z nie skrywaną satysfakcją, jakby w istocie przez uaktywnienie pryzmatu to on ją stworzył. – Nie widać, bo iluzjoniści zdjęli ją z bardzo bliskiego spojrzenia, ale ma dwa księżyce, jeden duży, trzy-, czterokrotna masa naszego Tryba, drugi natomiast prawie śmieć. Ten kontynent, co go terminator tak tnie, idzie tam potem jeszcze do drugiego bieguna. A tylko popatrz na te archipelagi. Popatrz na te góry.

Aż zauroczyło to samego króla i Warzhad wstał i z papierosem w ustach podszedł do iluzji. Generał również się zbliżył; nawet Plucińskiego zainteresowała. Planeta, w połowie biało-błękitna, w połowie czarna, wisiała nad nimi, niczym wybałuszone z piątego wymiaru oko nieśmiałego bóstwa. Obraz w iluzji był zamrożony, pryzmat pamiętał tylko to jedno odbicie w źrenicy – huragany zatrzymane w wirowaniu, chmury złapane w rozciągnięciu na ćwierć oceanu, burze pochwycone w środku paroksyzmów, zastopowane w obrotach noc i dzień – ale wystarczyło.

– Mój Boże, mój Boże – szepnął Warzhad. – Sam chciałbym polecieć.

Birzinni uśmiechnął się pod wąsem.

Generał zacisnął prawą dłoń na ramieniu króla.

– Wasza Wysokość. Ja błagam was...

– Nie będzie, kurwa, żadnej wojny! – rozdarł się monarcha, plując petem na dokumenty i odskakując wstecz od Żarnego. – Co ci się nie podoba? No co?! Mówię, że polecisz – i polecisz!

Generał wziął głęboki oddech.

– Wasza Wysokość, proszę wobec tego tylko o rozmowę w cztery oczy w Cichej Komnacie.

– Co ty knujesz? – warknął Birzinni. – O co ci chodzi? Myślisz, że uda ci się zastraszyć króla?

W cztery oczy z Żelaznym Generałem, dobre sobie...!

– Jestem królewskim doradcą i Strażnikiem Rodu, przysługuje mi...

– Nie pozwolę! – Tu premier zwrócił się do Warzhada. – Nie zdajesz sobie sprawy, panie, do czego on jest zdolny...

– Wydałem rozkaz, czy nie? – syknął król. – No wydałem, czy nie?! Więc, kurwa, wykonać bez pyskowania! Już! – Spojrzał na iluzję, podrapał się w policzek, rozglądając po sali i wypuścił powietrze z płuc. – Idę spać. Dobranoc.

Po czym wyszedł.

– Co się stało? – spytał minister skarbu.

– Nic, śpij dalej – machnął nań Birzinni.

Generał wrócił po łaskę, skłonił się premierowi i Plucińskiemu i ruszył do wyjścia. Birzinni podkreślił wąsa, Nex postukał się w zamyśleniu cybuchem fajki w przednie zęby... odprowadzali wzrokiem plecy Generała do samych drzwi. Orwid nie patrzył, bawił się wyłączonym pryzmatem, Bruda nawet odwrócił wzrok, by nie napotkać spojrzenia mijającego go Żarnego; dopiero potem zerknął. Gustaw Lambreaux z zamkniętymi oczyma konwersował ze swymi demonami.

Odźwierny zamknął drzwi.

– Na miłość boską – sapnął Sasza Querz – co tu się dzieje?

– Nic się nie dzieje, śpij, śpij.

•

– Że co??

– Królewski rozkaz. Lecę jutro z rana – rzekł Generał siadając na ławie pod fosforyzującą ścianą bezokiennej gabinetu Zakracy.

– Birzinni, co? – warknął ponuro major. – Jego robota, prawda?

Generał nawet nie fatygował się odpowiedzieć.

Zakraca wstał zza biurka, maszerując nerwowo w te i we w te sprawdził machinalnie główne zakłęcia antypodsluchowego konstruktum pomieszczenia, wreszcie wybuchnął:

– Owija go sobie dookoła palca! Nawet się z tym nie kryje! Przecież nie może się łudzić, że nikt nie widzi! Na co on liczy? Myśli, że ujdzie mu to na sucho? Właśnie mnie doszło, że re Duin przejął pakiet kontrolny Yaxa & Yaxa. Słyszał pan, generale? To jest już dwie trzecie Rady Królewskiej! Birzinni złapał nas za gardło!

– Re Duin był do przewidzenia – mruknął Generał, spoglądając na przeciwległą ścianę, po której kartograficznym fresku para niewidzialnych dzinnów przesuwawała symboliczne strzałki, linie, trójkąty i kółka. – Przebił się już?

– Ptak? – major zwolnił, obejrzał się na ścianę. – Ciągle to samo. Ale trzeba by chyba cudu, żeby w końcu ich nie zdusił. Mam tu bierne odbicie ze sztabu Szczuki – wskazał na jedno z ustawionych na biurku lusterek. – Myślą już o oddaniu Zalesia i Prawej Hurty.

– Ferdynand leży – rzekł Generał. – Leży i prosi o dorznięcie. Wycofanie się z gwarancji dla Księstwa było największym błędem Birzinniego. Przyjdzie nam za to drogo zapłacić. Do uniknięcia było morze krwi.

– Nic pan nie mógł poradzić, generale. – Zakraca wrócił za biurko, zaczął przestrajać jedno z lusterek. – *Votum separatum* dało przynajmniej niektórym do myślenia. Zresztą Warzhad i tak zrobiłby, co chciał Birzinni, chociażby zdołał pan przekonać Radę. A tam po prawdzie nie ma przecież kogo przekonywać, sam pan najlepiej wie, ile kosztuje głos takiego Spoty czy Chwalczyńskiego. Ale słowo Żelaznego Generała ma znaczenie, tak, tak, ludzie pana popierają, niech pan nie udaje zdziwionego, zapluty chłop z najdalszego zadupia dobrze wie, że Żelazny Generał nigdy nie łamie danego słowa i nie splamiłby swojego honoru żadną zdradą czy krzywoprzysięstwem, i prawda jest taka, że przyznają rację panu, Generale, nie królowi, król szczeniak, Generał legenda; ludzie jednak wiedzą, ludzie wiedzą bardzo dobrze, kto co warty... O, jest. Ilu pan chce?

– Wezmę „Jana IV” z trójką kinetyków. Na głównego ściągnij Goulde'a. Pełna obsada urwicka,

z ciężkim uzbrojeniem, sprzętem desantowym i tak dalej. Nadto zapasów ile się da... a, nie, one już są w stazach. Zresztą sam wiesz: chcę być przygotowany na każdą możliwość, skoro pojęcia nie mam, czego się tam spodziewać.

– Słyszałeś, Kuzo – zwrócił się Zakraca do lustra. – Generał leci jutro rano. Zaraz pobudzę ludzi. Macie tam miejsce?

– Stary Dwór stoi prawie pusty, już jakiś czas temu przygotowaliśmy miejsce dla uciekinierów z Krateru – odezwało się zwierciadło. – Na paręnaście klepsydr możemy tam zakwaterować i pułk. „Jan IV” jest w hangarze, nie ruszaliśmy go od lat, będą musiał pogonić dzinny. Załaduje pan ludzi od razu, Generale, czy też szykuje pan jakieś ćwiczenia, odprawę? W wyżywieniu jesteśmy uzależnieni od Ziemi i dodatkowa setka gąb na stanie...

– Najwyżej jeden posiłek – mruknął Generał.

– Najwyżej jeden posiłek – powtórzył Zakraca. – A właśnie, były jakieś sygnały z Krateru? Książęcy nie ruszają się? Ile mają statków?

– Cztery lub pięć, nadto trzy w ruchu wahadłowym, ale, przypuszczam, zniszczone, przejęte bądź zablokowane, bo to już mija trzydzieści klepsydr, jak nic z Księstwa nie wyszło ponad atmosferę. Tak w ogóle to jest kwestia polityczna, urwici Ptaka robili tu podchody od Subbermayera jeszcze za starego Lucjusza, smęciły się jakieś duchy po szczelinach, pokazywały widma, prawdopodobnie niewyciszone manifestacje sprzężeń bilokacyjnych, piątego, czwartego stopnia. Pan wie, Generale, o tej próbie desantu na Wronę? Chcieli się wkopać na sto łokci i obłożyć wyrwiduszą, nie wiem, czemu się wycofali, to by im jednak dawało jakąś odskocznię; chociaż, nie da się ukryć, cholernie kosztowne to było, wszyscy w bąblach, główny konstrukt na żywych diamentach... Krater jednak się nie podda. A gdyby książęcy ewakuowali cywili tak bez niczego, z samego strachu...

– Rozumiem, rozumiem. – Generał przeszedł za biurko, wchodząc w pole widzenia lustrzanego Kuzo. Kuzo poderwał się, uklonił; Generał skinął mu głową. – Czyj to był rozkaz z tym Starym Dworem?

– Mhm, po prawdzie myśmy się sami dogadali, tu, na miejscu, jak tylko wyszło to oświadczenie o neutralności. Było jasne, że nie będzie rozkazu do powrotu, a jak już Ptak weźmie Nową Plisę, Krater pozostanie ostatnim wolnym kawałkiem Księstwa Spokoju we wszechświecie. Tam się wkrótce rozpęta piekło. Szykują się już na śmierć.

– A w Plisie o tych cywili nikt się nie upomniał? Zapomnieli o nich, czy co? Mówisz, że zostało im parę statków... Mhm, pomyślmy: na prawie azylu, u nas czy na Wyspach...

– Nie mają kinetyków. Prawie nikogo nie mają. Z urwitów zostały chyba dwie osoby, reszta zwykli żołnierze. W ramach tej wielkiej mobilizacji sprzed heksonu ściągnęli wszystkich na dół. Pewnie właśnie giną gdzieś na Żabim Polu.

– Powinniśmy więc wejść na Krater – rzekł twardo Generał, pochylając się ponad ramieniem majora ku zwierciadłu dystansowemu. – Teraz jest najlepszy moment: przed oddaniem Plisy, ale po klęsce Księstwa. Byłbyś w stanie to wykonać? Trzeba zatknąć tam sztandar Imperium zanim pojawi się pierwszy statek Ptaka.

Kuzo skrzywił się.

– Niezbyt mi się to podoba...

– Nie bądź głupi, Kuzo – warknął Generał. – A po cóżeś szykował Stary Dwór? Ratujesz ludzi i ocalasz budynki i sprzęt, bo po szturmie urwitów kamień na kamieniu w Kraterze nie zostanie, wiesz o tym. A Ptak na bazę Imperium nie skoczy. Zero krwi.

– Ale oni się nie poddadzą! Mówiłem przecież!

– Ptakowi – nie; nam – tak. Uwierz mi, tam się właśnie modlą o jakieś honorowe wyjście. Nikt tak naprawdę nie pragnie śmierci, choćby nie wiadomo jak chwalebnej. Będę tam rano; tymczasem zrób tylko jedno: złoś im w moim imieniu propozycję. Warunki kapitulacji tak honorowe, jak tylko chcą. Sam

przyjmę. Osobiście. Na moje słowo. Rozumiesz? Żadnej ujmę. Możesz to nawet ująć jako okresową protekcję.

– Pan to mówi serio, Generale?

– Nie zadawaj głupich pytań – warknął Zakraca.

– W takim razie spróbuję.

Kapitan Kuzo zasalutował i rozłączył się, lustro odbiło twarze Generała i majora.

Generał wyprostował się, uśmiechnął.

Zakraca pokręcił głową.

– Już widzę minę Birzinnego. Zesra się, jak usłyszysz. Teraz wszystko zależy od tego, czy skurwiel nie ma tam na Trybie jakiejś wtyki. No bo potem przecież już nie odda Krateru Ptakowi, na coś takiego nawet król nie pójdzie. A jak urwitom Ptaka puszcza nerwy, to może nareszcie będzie pan miał tę wojnę, generale...

Ni z tego, ni z owego w Generale wezbrał zimny gniew. Jedną myślą obrócił Zakracę z fotelem przodem do siebie, po czym wycelował w majora obtoczony w szkle i metalu palec.

– Nie obrażaj mnie, Zakraca – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Król i Birzinni nie rozumieją, bo nie chcą zrozumieć, ale czy również ty sądzisz, że mnie ta wojna potrzebna jest dla zabawy, rozrywki, popisu?

– Bardzo przepraszam, jeśli tak pan to odebrał...

Równie szybko minął generalski gniew.

– Nieważne. – Żarny machnął laską, odwrócił się i wyszedł.

•

Dzinn posadził służbowy rydwan Generała na dachu jego willi kilkanaście łokci od leżaka ze śpiącą Kasminą. Zasnęła oglądając bitwę na Żabim Polu, w opuszczonej bezwładnie ręce ścisnęła jeszcze kieliszek z odrobiną wina na dnie. Generał podszedł, stanął nad nią, spojrzał. Była w białym, jedwabnym szlafroku; ścisnąwszy go pasek rozwiązał się, jedwab spłynął po jeszcze bielszym ciele kobiety. Generał stał i patrzył: głowa oparta o ramię, opuszczone powieki, wpółotwarte usta, zmierzwiłone włosy przesłaniające pół twarzy, na drugiej połowie, na policzku, czerwony odcisk, zapewne dopiero co przewróciła we śnie głowę z barku na bark. Patrzył, jak oddycha. Piersi w dół i w górę. Od nocnego zimna spierzchnęły się jej brodawki. Uniósł prawą rękę i zatrzymał dłoń tuż przed rozchyłonymi wargami Kasminy. Gorący oddech parzył mu skórę. Patrzył jak szamoczą się pod powiekami jej gałki oczne. Miała w sobie trzy czwarte krwi elfiej i niewykłuczone, iż widziała go także przez powieki. Pochylił się i pocałował ją. W pierwszym odruchu, jeszcze śniąc, nie otworzywszy oczu – objęła go ramionami i przyciągnęła. Oparł się jej, bojąc się o leżak.

– Starcy, jak ja – szepnął – wierzą już tylko takim wyznaniom: nieświadomym, mimowolnym.

– Skąd wiesz, o kim śniłam?

– O mnie.

– O tobie. Zaglądnąłeś?

– Nie. Widziałem, jak się uśmiechałaś, znam ten uśmiech.

Podniósł kieliszek, wyprostował się, wypił.

– Podobało ci się? – spytał, wskazując szkłem niebo.

Pomasowała ucho, przeciągnęła się, zawiązała szlafrok.

– Dzieci, jak ja – mruknęła – lubią kolorowe widowiska. Przyszło zaproszenie na bankiet u Ozraba, pójdziemy?

– Nie.

– Nawet nie spytałeś, kiedy to.

- Jutro lub pojutrze.
- Co, znowu wyjeżdżasz?
- Polityka, Kas, polityka.

Wstała z rozmachem, aż przewrócił się leżak.

- Pieprzę politykę – burknęła.

Zaśmiał się, przygarnął ją, przytulił.

- Nie posądzałem cię o aż takie perwersje. Chodź już lepiej, chodź; przed świtem zawsze najzimniej.

Zeszli na drugie piętro. Poltergeisty przygotowały Generałowi gorącą kąpiel – Kasmina udała, że się na niego obraża, i odmówiła, poszła poplotkować przez lusterko z przyjaciółkami.

Pół klepsydry letargu w parzącej skórę wodzie wystarczyło Generałowi dla pełnego relaksu.

Ocknąwszy się, przeprowadził kilka rozmów korzystając z odbicia w sufitowym zwierciadle, które skłął na ten czas, by pozbyło się skroplonej nań pary oraz weszło w sieć miejskich lusterek dystansowych. Potem poltergeisty wytarły Żarnego grubymi, miękkimi ręcznikami i odziały w trójwarstwową szatę. Przeszedł do gabinetu. Szkoda mu było czasu na jedzenie, pobrał energię bezpośrednio z ręki, przesunąwszy nią przez buzujący w kominku ogień. Usiadłszy następnie w fotelu, uaktywnił dymnik: najobszerniejsze ze standardowych zakłéc wizualizujących magię. Dymnik miał wbudowany moduł deszyfrujący, aby przejść ewentualne blokady czarów, chroniące je przed otwarciem się na oczach obcego; tu jednak wystarczyło rozpoznanie hasła, bo wszystko to były czary Żarnego. Ale, rzecz jasna, są czary i czary, hasła i hasła, różne poziomy tajemności i różne dymniki.

Jaskrawo pstrokate kwiaty konstruktów wystrzeliły ze ścian, z artefaktów leżących na biurku i na półkach regałów oraz z samego biurka, a lewa ręka Generała wprost wybuchnęła gigantycznym, wielobarwnym bukietem, który wypełnił niemal całe pomieszczenie. Odciążwszy pozostałe wizualizacje, Generał skupił się na tej. Przeskalował i rozwinął interesujące go jej gałęzie, resztę symbolicznych manifestacji zakłéc ściągając do wewnątrz. Ostały się jeno trzy konstrukty, jeden chwiejący się czarną w purpurowe pasy kontrzakłéc trąbą od palca wskazującego do drzwi, drugi spływający różnokolorowym kobiercem spod nadgarstka na kolana Generała i na dywan pod jego stopami, trzeci pajęczą siecią sztywnych algorytmów decyzyjnych wyrastający z przedramienia pod sufit, i układający się pod nim kołdrą gęstego dymu. Żarny odruchową boczną myślą wywołał quasiiluzyjne operatory magiczne, w postaci pary szczypiec, noża, igieł i szpuli srebrnej wstążki, który to kolor, jako jedyny, nie występował w żadnych wizualizacjach. Następnie Generał otworzył sferę podczasu i przystąpił do pracy. Płomienie w kominku pełgały w zwolnionym tempie, jak spływające we wnętrzu bezgrawitacyjnego pieca niedokrzepłe szkło.

Tak naprawdę trwało to osiemnaście klepsydr, ale kiedy zamknął sferę, dopiero świtało. Przebrał się w mundur polowy. Lustro odbijało kilkanaście wywoławczych ornamentów, ale nie odebrał. Poltergeisty spakowały mu do torby wskazane dokumenty, artefakty, ubranie. Torbę zaniósł do rydwanu.

Przechodząc, zajrzał do sypialni. Nie powinien był. Drugi raz zobaczył Kasminę śpiącą, bezbronne piękno, ufna nagość, spokojny oddech spomiędzy w półrozchylonych warg. Zauroczyła go zupełnie biel jej stopy. Przeklął się; przeklął się po raz drugi; dopiero wtedy mógł się ruszyć.

Wyszedł na dach. Po Żabim Polu już ani śladu, niechybnie oznacza to koniec Ferdynanda.

- Akademia Sztuk Wojny, Baurabiss – rzekł Generał dżinnowi.

•

Przez otwarty dach hangaru wpadał do wnętrza chłodny wiatr. Szarym prostokątem nieba sunęły brzydkie chmury. Poranek przyszedł na świat doprawdy niezbyt urodziwy.

- Ilu? – spytał Generał Zakracę.
- Siedemdziesięciu dwóch – odparł major spoglądając przez szybę kantoru na parę magtechów po

raz ostatni skanujących przygotowany do lotu wahadłowiec.

– Obróciliśmy we dwa, „Niebieskim” i „Czarno-czerwonym” – rzekł Tuul, hormistrz Baurabissu. –

Po piętnastu. Teraz ostatni.

– Goulde?

– Już na Trybie.

– Kapitan Głaz melduje gotowość – zakomunikował demon kryształu operacyjnego, spoczywającego w rogu biurka Tuula.

Generał zerknął na zegarek.

– Pół klepsydry – mruknął. – Trzeba się zbierać. Jest potwierdzenie od Kuzo?

– Tak.

– Birzinni przysłał papiery?

– Jeszcze w nocy.

Generał wstał, przeciągnął się, zatrzymał wzrok na suficie i wykrzywił usta.

– Zakraca – rzucił – lecisz ze mną.

Major obejrzał się nań zdumiony.

– Generale, ja tutaj...

– Lecisz ze mną – powtórzył Żarny i Zakraca wzruszył ramionami, bo znał ten ton i wiedział, że przeznaczenie już się zatrzasnęło.

– Miejsce jest – westchnął Tuul, wizualizując kryształem na przeciwległej do wielkiej szyby ścianie schemat „Czarno-czerwonego”. – W ostatnim leci tylko trzynastu. I reszta sprzętu.

Generał podszedł do kryształu, położył na nim dłoń, na chwilę zaniewidział.

– Dobrze – mruknął, odsunawszy rękę.

Hormistrz pokręcił z niesmakiem głową.

– Mógłby pan, generale, robić to jakoś delikatniej, demony głupieją mi od takich wiwisekcji.

– Przepraszam. Nie mam czasu. – Pochylił się nad zawalonym papierami biurkiem Tuula i ucisnął dłoń hormistrza. – Oby Bóg.

– Oby Bóg – pożegnał się Tuul i od razu rozpoczął rozmowę z czymś zdalnym odbiciem w jednym z rozstawionych na blacie luster.

Major i Generał zeszli po żelaznych schodkach na poziom podłogi hangaru; drzwi kantorka automatycznie zatrzasnęła za nimi dzinn budynku.

Zakraca poszukał papierosa, zapalił, zaciągnął się.

– Dlaczego? – spytał, odruchowo przykrywszy ich obu szybkim antypodsluchowym.

– Bo to jest coś więcej, niż ci się wydaje.

– Co takiego?

– Polecisz.

– Polecę. Rozkaz. Oczywiście że polecę. Ale demon w intuicji podpowiada mi, żebym był ostrożny.

– Masz dobrze ułożone demony – uśmiechnął się Generał. – Bądź ostrożny; bądź zawsze.

– Nie powie mi pan?

– Powiem.

– Taak – westchnął Zakraca i zdjął czar.

Ruszyli ku „Czarno-czerwonemu”. Wahadłowiec unosił się dwadzieścia łokci nad posadzką. Miał kształt pękatego cygara, wykonany był z dębowego drewna, gładko wypolerowanego i pociągniętego pokostem; na obu końcach zamykały go symetryczne rozety wielkich, kryształowych okien. Generał mrugnął sobie w spojrzeniu dymnikiem, wizualizując jawne poczwórne zakłęcie hermetyzujące Łobońskiego-Krafta, które oplatało ściśle pojazd; nie dostrzegł w nim żadnych luk, i nie spodziewał się dostrzec, znając dokładność magtechów Tuula – a i tak musiał im przeciwzawierzyć, nie sposób

dopilnować wszystkiego samemu, konstrukty czarów statków kosmicznych należą do najrozleglejszych i najbardziej skomplikowanych. Miał jednak złe doświadczenia z lotami ponadatmosferycznymi. Raz już przeżył nagłą dehermetyzację statku na orbicie; tylko natychmiastowa, bezmyślna, artefaktyczna reakcja ręki uchroniła go od śmierci z wymrożenia i uduszenia. Od tamtego czasu – a zdarzyło się to jedenaście lat temu – nie opuszczał planety bez wielokrotnego zabezpieczenia sporządzonego z własnych czarów. Nie szyfrował ich i towarzyszący mu urwici mieli okazję podziwiać ten majstersztyk sztuki magicznej, redukujący Łobońskiego-Krafta do jednej tysięcznej energochłonności i toksyczności pierwotnego zakłęcia. Nikt wszakże nie potrafił skopiować owego dzieła. Takie przykłady świadczyły najdobitniej o słuszności stosowanej nomenklatury: nie nauka – sztuka. Żelazny Generał był zaś jej niekwestionowanym arcymistrzem.

Przy oznaczonym rurą zielonego gazu pionie lewitacyjnym „Czarno-czerwonego”, którym jeden z dzinnów statku wciągał pasażerów do jego wnętrza, spotkali pilota.

– To zaszczyt, generale – rzekł kinetyk, przełknąwszy ostatni kęs spożywanej w pośpiechu kanapki.

– Osobisty? – spytał Generał, wskazując wzrokiem kaburę przymocowaną do pasa pilota, z której wystawała rękojeść pistoletu, pod dymnikiem kwitnącego na złoto i czarno.

– Mhm, tak – odparł kinetyk przenikając przez zieleń. – Po Baurabissie chodzą różne plotki. Krater siedem wężów od Mnicha, a przecież trwa wojna. Sam pan wie, generale. Zresztą, co taka pukawka może; to tylko dla komfortu psychicznego – dodał, szybując ku ciemnemu brzuszysku wahadłowca, które, posłuszne woli dzinna, otwierało się już sześciopłatowym włazem.

Major i Generał wlecieli po pilocie. Wewnątrz ściany fosforyzowały pomarańczowo, było nawet jaśniej niż w hangarze. „Czarno-czerwony”, jak wszystkie wahadłowce, stanowił w istocie po prostu solidne pudło do przewożenia ludzi i ładunków na orbitę i z powrotem. Był mniejszy, niż się wydawał z zewnątrz. Składał się z dwóch pomieszczeń: kabiny pilota z przodu oraz reszty cygara, gdzie do ścian przymocowano fotele dla pasażerów i haki dla ładunku. Aby wykorzystać przestrzeń do maksimum, ta część wahadłowca objęta była zakłębieniem deformującym okresowo grawitację: „dół” znajdował zawsze pod stopami, o ile choć jedna z nich dotykała fosforyzującego drewna pojazdu. Średnica cygara przekraczała dwanaście łokci, więc nie zahaczało się głową o głowy chodzących po „suficie”, jeśli tylko, rzecz jasna, nie zbliżyło się za bardzo do rozety widokowej, gdzie ściany „Czarno-czerwonego” zbiegały się ku sobie.

Spał tu już, przypięty do fotela, jeden z przydzielonych urwitów, w niekompletnym mundurze bitewnym, w kokonie silnego czaru obronnego.

Pilot, wleciawszy do wnętrza, zniknął od razu w swojej kabinie. Zakraca i Generał usiedli blisko rozety; przez jej okna widzieli z wysokości przekrzywiony nieco hangar, nieco przekrzywione niebo.

– Wychodzę do Tryba – poinformował Żarny majora i zmienił się w smolistoczarny posąg. Zakraca uniósł tylko lekko brwi. Wyjął przenośne lustro i wdał się w długą rozmowę ze sztabowcami z Zamku, którzy analizowali właśnie dane dostarczone przez ocalałe duchy szpiegowskie; blokada Ptaka była ściślejsza niż się spodziewali, i tych informacji nie było znowu tak wiele. Tymczasem Ptak szedł na Plisę. Główne siły przerzucił Tchatarakką, wyparowawszy oba Jeziora Jadowe, Mniejsze i Większe. Panika wśród ludności Księstwa sięgnęła takich rozmiarów, że nikt już nie panował nad ruchami migracyjnymi. Bogumił Warzhad stanął przed dylematem: wpuszczać ich, czy nie wpuszczać? Wyglądało na to, że nie ma wyjścia; zakazy imigracyjne skierowane przeciwko Lidze mściły się naporem uchodźców z innej strony. Na giełdzie Czurmy skoczyła w górę cena złota i diamentów, także ziemi na Wyspach. Monstrum ekonomii nigdy nie potrafiło panować nad swym obliczem, od jednego cienia myśli przebiegały po nim wysokie fale strachliwych min i grymasów.

Wkrótce przybyło pozostałych jedenastu urwitów. Zakraca znał jednego z nich, chorążego Iurgę, i wdał się z nim w dyskusję na temat nowych zasad rekrutacji do Akademii, podług których dopuszczono

do urwickiego szkolenia pierwsze kobiety; Iurga był przeciw, Zakraca był przeciw, wspierali się nawzajem w swym oburzeniu. W międzyczasie kinetyk podniósł wahadłowiec ponad miasto i zaczął się wspinać przez chmury ku gwiazdom. W dzień słabo widoczne, w miarę wznoszenia się „Czarno-czerwonego” świeciły coraz jaśniej; czary antyoporowe oraz klarujące czyniły widok lustrzanie wyraźnym.

Nieboskłon ściemniał aż do głębokiego mroku zimnego kosmosu, weszli na orbitę Ziemi. Kilka nieumocowanych przedmiotów rozpoczęło lewitację po wnętrzu wahadłowca. Urwici w mgnieniu oka ściągnęli je telekinezą do siebie.

Wszedłszy na odpowiedni kurs, „Czarno-czerwony” jął ściagać księżyc. Pasażerowie nie widzieli Tryba, dopóki nie rozpoczął się manewr lądowania, a raczej cumowania, bo Tryb, choć największy z naturalnych satelitów planety, i tak był przecież niczym więcej, jak sporych rozmiarów kulistym odłamkiem skały. Jego przyciąganie było niemal niezauważalne, wszyscy przebywający na jego powierzchni zmuszeni byli nosić specjalne buty, trwale skłute wcześniej przez magów, aby nie „odskoczyć” przypadkiem w kosmos. Urwici, rzecz jasna, zaklinali swoje własne obuwie.

Ledwo wahadłowiec opuścił się wgłąb księżycowego hangaru, Generał wyszedł z bezczasu.

Kapitan Kuzo bilokował się do wnętrza opadającego statku, za którym zamknęła się już półsfera czaru hermetyzującego, i zameldował się Generałowi.

– Za klepsydrę spotkanie w pół drogi. Re Quaz osobiście. Zgodziłem się na transmisję do Krateru, mam nadzieję, że nie ma generał nic przeciwko temu.

– Oczywiście. Pokazali się ludzie Ptaka?

– Jeszcze nie. Ale obrodziło naraz duchami, wciskają się wszędzie jak szczury, egzorcyzmujemy je masowo.

– To Ptaka?

– A czyje? Wywiad Ligi nigdy nie był specjalnie subtelny.

– Gdzie jesteś?

– Czekam już na miejscu, dlatego nie mogłem osobiście... Leci pan, generale, od razu?

– Tak. Masz papiery?

– Według sugestii majora Zakracy, oparłem tekst na kapitulacji Sześćdziesiątej Siódmej Arkadyjskiej, demony przekopowały z archiwum.

– Zfantomizuj mi to tu na moment.

Kuzo wyciągnął rękę i pojawiła się w niej teczka z dokumentami. Generał dotknął jej swą lewą dłonią.

– Dziękuję. Zapoznam się po drodze. Były jakieś rozkazy z Zamku?

– Tylko potwierdzenie harmonogramu.

Kapitan zniknął.

Tymczasem „Czarno-czerwony” znieruchomiał i urwici zaczęli wyskakiwać z wahadłowca. Generał, Zakraca i pilot opuścili statek jako ostatni.

Spłynęli bezpośrednio do drzwi hangaru. Cały teren bazy wojskowej objęty był czarem hermetyzującym, typ Kraft III, który utrzymywał tu ziemską atmosferę; temperaturę stabilizował zaś konstrukt na żywych diamentach, rozszczepiony na dwa w piątym wymiarze dla absorpcji żaru bezpośrednio ze Słońca.

Oficer dyżurny polecił Generałowi i Zakracy wpisać się na listę przybyłych i wskazał drogę do lądowiska rydwanów, niepotrzebnie zresztą, bo zarówno Generał, jak i major, orientowali się w rozkładzie budynków Mnicha nie gorzej od samego dyżurnego. Ta nazwa – Mnich – wzięła się od kształtu skały górującej nad bazą: skała przypominała zakapturzoną, zgarbioną postać. O pewnej porze trybowego dnia kryła swym cieniem cały teren bazy.

Generał i Zakraca nie skierowali się od razu ku rydwanom, najpierw wstąpili do jednego z sąsiednich hangarów, który wypełniał w całości „Jan IV”. „Jan IV” w niczym nie przypominał wahadłowców w rodzaju „Czarno-czerwonego”. Był ponad dziesięć razy większy. Co do kształtu, to trudno było w jego przypadku mówić o jakimkolwiek: przywołał na myśl raczej przypadkowy zlepek kilkudziesięciu budowli, podniesionych jakimś czarem wzwyż, wyobracanych na wszystkie strony bez respektu dla grawitacji i zszczerzonych ze sobą w przypadkowej konfiguracji. Sterczały z tej drewniano-metalowo-kamiennie-płóciennie-szklanej konstrukcji na wszystkie strony: wielkie maszty z żaglami wykonanymi z dziwnego, lustrzanego materiału, krzywe wieżyczki, szklane kopuły, kryształowe kule, nawet coś jakby żywe rośliny, bezlistne drzewka o białej korze, rosnące na boki, w dół, w górę, w skos. „Jan IV” został zbudowany z rozkazu Lucjusza, ojca Bogumiła Warzhada, z przeznaczeniem eksploracji pozostałych planet układu oraz układów sąsiednich. Rozpięto go na samodzielnej sieci żywokrystalicznej, aby bezpułapowym poborem energii umożliwić rozwinięcie w jego konstrukcie maksymalnie potężnych zakłęb. Stanowił samowystarczalny habitat dla ponad stu ludzi; mogli w nim żyć dowolnie długo, mogli nim podróżować w dowolnie odległe miejsca wszechświata, mogli w nim stawić czoła dowolnemu przeciwnikowi. Nierozgryzalny orzech życia w ocenie zimnej śmierci. Ściernik – mag, który wykonał „Jana IV” – w dziewiczym locie statku, dla przetestowania, a raczej udowodnienia niezawodności swego dzieła, przeszył, zamknięty w jego wnętrzu, jądro Słońca: konstrukt pompował był przez żywe diamenty energię w odwrotną stronę, wydając żar.

– Zostań – rzekł Generał Zakracy. – Zajmij się wszystkim. Załaduj ludzi i sprzęt. Sprawdź stary prowiant. Jak tylko wrócę – odlatujemy. Blokuj łączność z Zamkiem. Ludziom też przykaż ciszę. Rozkaz był otwarty?

– Nie. Zarządziłem werbunek w ślepo; to nie ma znaczenia, ludzie idą na pana nazwisko, generale, pan wie. Legenda.

– Nie kadź, nie kadź. Cel i koordynaty tylko Goulde'owi. Pozostałym sam powiem, jak wyjdziemy poza lusterka.

– Tak jest.

– Na Boga, przestaj mi wreszcie salutować!

– Według rozkazu.

– Jaki stary, taki głupi. – Generał, kręcąc głową i mamrocząc coś pod nosem, ruszył ku rydwanom. Po skale płynęły za nim cienie: od Ziemi – wielkiej, zielono-rdzawej na gwiazdzistym niebie Tryba – oraz niezliczonych błędnych ogni szybujących leniwie pod sferą hermetyzującą bazy.

Dżinn rydwanu był w dobrym humorze.

– Toż to sam Żelazny Generał! Zaszczyconym, zaszczyconym.

– Zamknij się i leć.

Wyskoczyli ponad sferę i rydwan otoczył się samodzielnym bąblem Krafca II. Równocześnie pokrył go zwierciadlany czar maskujący, przekopiowany z półsfery bazy: duchy szpiegowskie były wszędzie i nie należało ułatwiać im sprawy dobrowolnie dostarczając informacji o pobycie na Trybie konkretnych osób oraz ich poczynaniach.

Po raz pierwszy na dłuższy czas objęła Żarnego miękka nieważkość i jego artefaktyczna ręka strzyknęła mu w organizm serię krótkich klątw fizjologicznych, by zneutralizować nieprzyjemne skutki rewolucji grawitacyjnej.

Rydwan leciał tuż nad gruntem, skacząc w niespodziewanych szarpnięciach ponad kolejne jego wypiętrzenia i spadając niczym głaz w obniżenia. Cień od Ziemi sunął po skale jak wierny pies, krótka fala nocy. Wielka planeta wisząca nad głową Generała – jak balon, jak malowany lampion – nadawała całej scenierii rys nierealności: bajkowe, oniryczne krajobrazy.

Rydwan spadł w kolejny trybowy nibywawóz. Błysnął w nim podwójnie odbitym światłem lustrzany

bąbel, w trzech czwartych skryty w cieniu. Generał rzekł: – Stop – i kierowany przez domyślnego dzinna rydwan opadł ku bąblowi, bez problemu przenikając zwierciadlaną półsferę, jako że czary maskujące – stacjonarny oraz pojazdu – rozpoznały nawzajem zaszyfrowane sygnatury identyfikujące swój/obcy.

Wewnątrz bąbla stało kilkadziesiąt osób, skupionych przy dwóch grupach rydwanów. Dżinn wyładował przy grupie kapitana Kuzo.

Generał wyskoczył, kapitan podszedł doń szybko.

– Przeczytałem – rzekł Żarny. – Podoba mi się. Mam kilka pomniejszych uwag, ale ważniejsza jest teraz szybkość decyzji niż prawnicze detale, więc akceptuję w całości. Re Quaz jest już gotów?

– Ee... tak.

Ruszyli we dwójkę ku grupie książęcych. Imperialni urwici oglądali się za nimi – gdy Generał uniósł w pozdrowieniu swą magiczną rękę, odpowiedzieli wysokimi salutami.

– Jakie nastroje? – spytał telepatycznie kapitana pod mentalną blokadą, od której Kuzo aż lekko zbladł i zmylił krok.

– U książęcych? Ponure. Nie są zachwyceni. Nikt by nie był. Nalegali na konsultacje z Plisą.

– I co?

– Pan sobie zdaje sprawę, generale, że dla Ptaka Nowa Plisa jest jak ze szkła, duchy tam chodzą na wskroś...

– Więc?

– Kazałem ich zagłuszyć – wyznał po chwili Kuzo, mimo wszystko dołożywszy do generalskiej swoją własną blokadę.

– Bardzo dobrze – pochwalił Generał, śląc mu w myślach także półuśmiech i gest/wrażenie akceptujące.

– Sądzą, że to Ptak. Dałem im termin do pana przylotu; wciąż utrzymujemy to zagłuszanie.

– Nie zdejmuj go, aż się wszystko wyda. Po ewakuacji i tak będą korzystać z naszych pasm.

– Trochę to wszystko nie *fair* – krzywił się w wyobrażeniu Kuzo.

– Cóż ci mogę odrzec? Myślenie boli; powyżej pewnego stopnia w hierarchii nie można już tylko wykonywać rozkazów, majorze Kuzo.

– Mhm, dziękuję.

– Mam szczerą nadzieję, że równie przyłożyliście się do egzorcyzmów, bo nie chciałbym być w waszej skórze, jeśli przedostanie się tu choć jeden duch Ptaka lub, co gorsza, Birzinniego.

Re Quaz wyszedł im naprzeciw. Towarzyszył mu czarnoskóry adiutant z regenerowanym jednym lub oboma oczyma, co się poznawało po niezgodności barw ich tęczówek.

Generał uściśnął dłoń re Quaza; w tej samej chwili dojrzał przez dymnik odchodzącą od lewego oczodołu adiutanta boczną wstęgę.

– Kto zabezpiecza tę transmisję? – zapytał telepatycznie kapitana (jeszcze kapitana) Kuzo – My czy oni?

– Oni.

– Cholera.

– Szkoda, że poznajemy się w tak przykrych okolicznościach – mówił re Quaz. – Historia; cóż, historia... – Podkreślił węża, mrugnął, założył ręce za plecy. – Taak. Jest pan zatem gotów, generale, własnym słowem gwarantować dotrzymanie warunków układu? – Nie nazywał tego kapitulacją, jako że Księstwo nie znajdowało się w stanie wojny z Imperium; dzięki temu porozumienie zachowywało wszelkie pozory tymczasowego uzgodnienia warunków współpracy przez sąsiadujące ze sobą placówki zaprzyjaźnionych państw – nie było przecież aktem prawnym *sensu stricto*, nie zmieniało podziału terytorialnego Tryba, ani nie poruszało żadnych kwestii politycznych: stanowiło dobrowolną deklarację pewnej ilości poddanych księcia Ferdynanda o przyjęciu przez nich okresowego protektoratu Imperium,

rozciągając to w rozszerzeniu na powierzone ich pieczy mienie ruchome i nieruchome. Po prawdzie – posiadało wszelkie cechy zdrady i przez księżących kazuistów z całą pewnością mogło za nią zostać uznane. Jednakże wszyscy tu obecni zdawali sobie sprawę, iż takie konsekwencje podejmowanej właśnie decyzji są skrajnie mało prawdopodobne: Księstwo Spokoju *de facto* – bo jeszcze nie *de iure* – nie istniało.

– Tak – odparł zdecydowanie Żelazny Generał re Quazowi.

– Cieszę się. Cieszę się. – Re Quaz westchnął i skinął na adiutanta. Adiutant podał mu teczkę z umową, Kuzo zaś wyciągnął swój egzemplarz. Nie było pulpitu. Generał zfantomizował mahoniowe biurko, ustalając jego blat na poziomie zafiksowanej krótką kłątą płaszczyzny telekinetycznej. Rozłożyli więc papiery na nieistniejącym meblu, wyciągnęli pióra i, w seledynowym świetle szybko obracającego się ponad nimi globu, podpisali układ. Różnooki adiutant zaglądał im przez ramiona.

Pociągnąwszy ostatnią kreskę, Żarny wyprostował się. Od strony rydwanów z Mnicha rozległy się niepewne oklaski. Re Quaz posłał imperialnym melancholijne spojrzenie.

– Chciałbym móc teraz zajrzeć do wydanego za sto lat podręcznika historii – rzekł.

– Ja nigdy nie zaglądam – stwierdził Generał, na szczęście łamiąc swoje pióro.



Generał rozpoczął był swą kampanię na rzecz poszukiwania w kosmosie drugiej Ziemi w reakcji na skonstruowany przez Innistrounce'a z Wysp, elfiego mistrza magii, Czar Końca Świata. Innistrounce, pracując na zlecenie Kompanii Południowej nad przemysłowym wykorzystaniem żywych diamentów do bezpiecznej i opłacalnej transmisji do manufaktur pobieranej ze Słońca energii, opracował schemat takiego przyłożonego do nich mageokonstrukt, który, uruchomiony, prowadziłby nieuchronnie do eksplozji gwiazdy, wnętrza której sięgały przez wyższy wymiar quasibilokowane diamenty. Pełny Czar Końca Świata – zwany również Słoneczną Kłątą – wymagał, co prawda, dwóch par żywokrystalicznych układów i dwóch gwiazd (aby móc przepompowywać w czasie rzeczywistym energię z jednej do drugiej), wszystko to jednak były koszty pomijalne w zestawieniu ze spodziewanym skutkiem. Zagłada Ziemi! Czyli właśnie koniec świata. Innistrounce sprzeniewierzył się Kompanii i rozgłosił swoje odkrycie; wielu miało o to do niego pretensje, lecz Generał uważał, że bezzasadnie: prędzej czy później uczyniłby to ktoś inny, możliwości zawsze nieuchronnie ciążyą ku samospełnieniu, wszystko, co nie jest, chciałoby być – a co zostało pomyślane, istnieje już w dziewięciu dziesiątych. Tak obracają się żarna historii. Więc nie miał pretensji do Innistrounce'a. Zaczął natomiast od razu przemyśliwać nad tarczą odpowiednią dla tego miecza. Tak zrodziła się idea poszukiwania planet bliźniaczych Ziemi i ich kolonizacji. Generał miał jednak wielkie kłopoty z przepchnięciem projektu przez armijną biurokrację, jako że dalwidze, podwładni pułkownika Orwida, szefa sekcji obsługi operacyjnej Sztabu Generalnego (czytaj: wywiadu wojskowego), podlegali bezpośrednio Sztabowi, z pominięciem struktur dowódczych urwickiej Armii Zero Żarnego – a poza hrabią chyba nikt nie wierzył, iż kiedykolwiek faktycznie znajdzie się ktoś na tyle szalony, by uruchomić ku także własnej zgubie Czar Końca Świata. Pojawiły się nawet głosy, że wszak dopiero właśnie znalezienie drugiej Ziemi może kogoś sprowokować do inicjacji Słonecznej Kłątwy, bo stwarza mu już możliwość przeżycia mimo eksplozowania Słońca; Generał wskazał jednak, iż w takim razie to Zjednoczone Imperium powinno być tym, kto pierwszy ową Ziemię-bis znajdzie, inaczej niechybnie samo stanie się obiektem szantażu. W końcu Sztab jakoś to przełknął.

Zanim jeszcze „Jan IV” wyszedł poza zasięg czarów komunikacyjnych luster dystansowych oraz zakłęć sztucznej telepatii, dotarły do jego załogi wieści o generalnym szturmie Ptaka na Nową Plisę i ucieczce Ferdynanda do Zamku w Czurmie, gdzie teleportowali go jego urwici. Było to już ostateczne potwierdzenie upadku Księstwa. Urwici Ligi najwidoczniej przełamali obronę i szykowali się do położenia kłatw blokujących, inaczej Ferdynand nie zgodziłby się na teleportację, bo to wciąż był hazard:

pomimo wieloletnich starań magów, najwyżej co drugi delikwent docierał na miejsce przeznaczenia, reszta ginęła gdzieś w przestrzeniach cudzych myśli. Książę Ferdynand dotarł. Poprosił o azyl. Do chwili, gdy urwała się łączność Ziemi i Tryba z „Janem IV”, Bogumił nadal nie podjął w tej kwestii decyzji. Jego wahanie wzbudziło na pokładzie statku spore zdumienie.

– Czy on się aby nie przestraszył? – zagadnął Generała pułkownik Goulde, gdy ten zaszedł do kopuły kinetyków.

– Polityka, Max, polityka – mruknął Żarny siadając w wolnym fotelu. – Założę się, że to, jak zawsze, Birzinni śliskimi gierkami próbuje wygrać coś na sytuacji.

– Z drugiej strony – włączył się inny kinetyk, niewidoczny, bo zagłębiany w rzeźbionym w lwie głowy fotelu pierwszego pilota – przyznanie mu tego azylu może zostać przez Ptaka odebrane jako wypowiedzenie Lidze wojny.

– Ty się nie odzywaj – rzekł mu Goulde, nabijając fajkę – lepiej pilnuj, żebyśmy się nie wpakowali w jakąś gwiazdę.

– Gnoma mógłbyś tu posadzić; prawdopodobieństwo niższe niż że podpalisz sobie od tej fajki brodę – odmruknął mu podwładny.

Goulde pokręcił głową, skrzesał pirokinezą kilkanaście iskier, zaciągnął się i wydmuchnął ciemny dym. Pochyliwszy się ku Generałowi, wskazał wzrokiem przez przeźroczystą kopułę w kierunku lotu.

– To ma być podbój? – spytał.

– Podbój?

– Spodziewasz się oporu miejscowych? Tam, na tej planecie.

Żarny wzruszył ramionami.

– Ja w ogóle nie wiem, czy są tam jacyś „miejscowi”.

– Bruda nie zagładnął?

– Widziałeś, co zdjęli iluzjoniści ze spojrzenia dalwidzów. Wszystko to poszło z dnia na dzień, jakby się paliło. Oczywiście, że Bruda powinien był mi wpierrw przedstawić pełną dokumentację globu i okolicy, logika nakazywałaby przeprowadzić nawet ostrożny zwiad... Ale nie było czasu, Birzinni podpuścił króla i, zanim się obejrzałem, miałem rozkaz. Skoro tak, to wolę się zabezpieczyć.

– Też polityka? Nie wierzę. To jakaś zaraza.

– Kwestia obsesji. Jak Birzinniemu skrzat przebiegnie drogę, to dla niego to też będzie sprawa polityczna.

– Dla skrzata? – zaśmiał się niewidoczny pilot.

Obejrżeli się na niego.

– Czy to nie podpada przypadkiem pod brak szacunku?

– Kazałeś mu się zamknąć: niesubordynacja.

– Złamał rozkaz. Zetnę i zdegraduję.

– A co. Niech znajdą mores.

– ...i jeszcze raz zetnę.

Generał znał Goulde'a dłużej nawet niż Zakracę: mogli sobie tak żartować, dla postronnego słuchacza – jak ów pilotujący statek kinetyk – zupełnie beztrasko; w otoczonych kłębam dymu z Goulde'owej fajki mężczyznach wzbierało jednak powoli gorące napięcie. Goulde czytał je ze spokoju w ciemnych oczach Generała. Generał najwyraźniej oczekiwał – przeczuwał, domyślał się – niebezpieczeństwa. Stary pułkownik usiłował wysondować otchłanne tonie – tubylcy? polityka? – bezskutecznie jednak. Być może Żarny sam nie wiedział, czego się lęka. Goulde w zamyśleniu ssał ustnik. Po przekroczeniu pewnego wieku przecucia zyskują wagę dedukcji – Żelazny Generał przekroczył każdy ludzki wiek.

Wkrótce ujrzą planetę na własne oczy, wkrótce sięgną jej zwiadowcze podkłatkwy mageokonstrukt

„Jana IV”. Lecieli już piąty dzień. Światłochrapy statku czerpały z pustki zabłąkane promienie i malowały nimi powierzchnie przezroczystych i nieprzezroczystych ścian. Widzieli więc, jak rozjeżdża im się przed dziobem na wszystkie strony gwiazdozbiór Ślepego Łowcy; poszczególne punkty jasności biegły na boki od osi „Jana IV” wycelowanego w słońce oznaczone w Atlasie Uttle'a numerem 583, a że różnice w prędkości ich ucieczek były ogromne, konstelacja rychło utraciła dla pasażerów statku jakiegokolwiek podobieństwo do figury znanej im z map ziemskiego nieboskłonu.

Kopuła kinetyków, jak całe wnętrze „Jana IV”, urządzona była z zaiste królewskim przepychem: złocenia, rzeźbienia, jedwabie, gobeliny, dywany i boazerie, marmury i mozaiki, freski, kasetony, obrazy, popiersia. Jedynie „dolna” część statku, gdzie znajdowała się zbrojownia, spiżarnia, konserwatorium żywych kryształów i sypialnie, jedynie ona posiadała pewien pozór funkcjonalności, chociaż Żarny i tak chętnie wymiottiłby stamtąd z setką zbędnych bibelotów. Nic by to jednak nie dało; „Jana IV” zaprojektowano dla starego Lucjusza Warzahada w manierze wycieczkowej karaki monarchy i jakiegokolwiek przeróbki musiałyby okazać się teraz znacznie bardziej szkodliwe dla estetyki, niż korzystne dla ergonomii.

Gdy konstrukt dał znak, że planeta znalazła się w zasięgu jego podklątów, Goulde i Generał przeszli do górnej mesy. Sala ta była grawitacyjnie zorientowana przeciwnie do kopuły kinetyków i po drodze trafili na przegub ciężenia, pułkownikowi rozsypał się tytoń z fajki, musiał go myśłą ściągać z powrotem grudka po grudce, wszedł do mesy klnąc pod nosem.

Planeta, wielkości smoczego jaja, wirowała powoli pośrodku pomieszczenia. Stał przy niej rozespany Zakraca z kubkiem gorącej jurgi w garści i szeptał coś do trójki urwitów o otwartych oczach z wywróconymi białkami, którzy siedzieli, sztywno wyprostowani, na odsuniętych od stołu krzesłach. Dwóch innych pracowało przy zawieszonym nad ich głowami kryształ operacyjnym; czwórka przy bocznym stoliku zaklinała zaś gromadę duchów o nieludzkiej aurze.

– Jakaś mała mobilizacja – uniósł brwi Generał.

Zakraca siorbnął jurgi, zamachał ręką.

– Właśnie posłałem panu, generale, polte'a.

– Musiał się gdzieś zgubić. Raportuj.

– Tajes. Wysunęliśmy niskoenergetycznego Foltzmana – major wskazał kubkiem kolorową iluzję planety. – Porucznik Łuta, wachtowy, puścił to na kryształ i ściągnął człowieka do analizy. Demony chciały rzecz rozebrać interakcyjnie na skan wielowymiarowy, bo zadał im pełną topografię pod chmurami i za terminatorem. Ale Foltzmann się rozłożył. Konstrukt przeszedł w tryb alarmowy i podniósł pobór do trzech koma osiem. Łuta posłał mi polte'a i wezwał pełną obsadę. Kazałem uspić podklątwy aktywne i wszystkie czary ingerujące. Teraz jedziemy na maksymalnym biernym Daabrze-Kosińskim, wersja plisowa, z poczwórnym wytlumieniem. To – znowu wskazał iluzję – to jest pętla obrazów zarchiwizowanych. Demony sortują teraz zebrane dane i próbują mimo wszystko złożyć z nich mapę, a tych tu trzech skłęło się na dalwidzów, mają wspomaganie żywych diamentów.

– A te duchy?

– Chcę je puścić na ślepo z jednej dziesiątej szłoga.

– Czyje to?

– Nie wiem. Czyje to? – spytał czwórkę zaklinających.

– Mijaliśmy jakiś układ z gazowymi olbrzymami – odmruknął jeden z nich. – Szlag by trafił te pokraki. Trzeba przez demony, inaczej nie idzie cokolwiek zrozumieć. Nie wiem, czy zdążymy.

– Cholera.

– Domysły? – rzucił Generał.

– To oczywiste – prychnął Zakraca. – Foltzmann siadł od kontrzakłącia.

– Więc jednak tubylcy – pokiwał głową Goulde.

- Demony sporządziły profil ich magii?
- Nie ma z czego, brak danych, Foltzmanna odcięło przecież bez opóźnienia.
- Były próby sondowania statku?
- Niczego takiego nie zarejestrowaliśmy.
- A oni? – Żarny wskazał spojrzeniem zaślepionych urwitów. – Znaleźli już coś?
- Kogoś – poprawił krótkim mruknięciem Goulde zapatrzony na obracającą się wielką iluzję planety.

– Kogoś.

Zakraca skrzywił się.

- Właśnie nie mogę od nich nic wyciągnąć. Pewnie blokada.
- Czy konstrukt bocznikuje ich iluzyjnie? – spytał Generał.
- Powinien – przyznał major i skinął na urwitów zajmujących się kryształem. – Dajcie mi tu ich trójkę – rzekł wskazując na lewo od iluzji planety, w zbieg ściany i sufitu.

– Robi się.

Po chwili zakotłowały się pod powalą trzy kłęby mroku.

– O kurwa.

Generał szybko podszedł do zaślepionych urwitów i lewą dłonią dotknął skroni każdego z nich.

Zsunęli się z krzeseł, nieprzytomni. Obłoki ciemności zniknęły.

– Trzeba było posadzić tu kogoś, żeby ich monitorował – rzekł. – Wpadli w spiralę światła. Uciekliby jednak, gdybyś nie dał im tego wspomaganie. Diamenty mogłyby wpompować w nich pół galaktyki, to postęp geometryczny, rezonans zmieniłby nas w plazmę. Dlaczego o tym nie pomyślałeś, Zakraca? Trzy czwarte miast w Imperium ma podobne pułapki na dalwizdów, Ustawa o Prywatności.

– Mój błąd – przyznał major. – Ale skąd mogłem wiedzieć? Ostatnie, czego bym się tam spodziewał, to drugie Imperium.

– Panie majorze... – odezwał się naraz jeden z urwitów pracujących na kryształach.

– Mhm?

– Mamy pełną mapę.

– I co?

– Nic. Dzicz, pustka. Wizualizować?

– Żadnych miast, żadnych... istot?

– Nic. Wizualizować?

Spojrzeli po sobie. Goulde postukał się cybuchem w zęby.

– Piękna robota – skwitował. – Falszywka totalna. Z tej odległości i na całej planecie... majstersztyk. Iluzja – spojrzał na fantom planety – że niech się Pełzacz schowa. Oj, ciężki to będzie podbój, generale, bardzo ciężki.

•

Z duchami zdążyli na ostatnią chwilę i nie było już czasu na pełny zwiad, Generał kazał im tylko sprawdzić kilka losowo wybranych miejsc; i szybko je sprawdziły – okazały się, co do jednego, zgodne z mapą sporządzoną na podstawie danych zebranych przez podkłätwy konstrukt „Jana IV”. Co zresztą nie było dla nikogo zaskoczeniem, nie oczekiwano zmiany i fałszu w każdym szczególe – lecz właśnie ukrycia niewielu kłamstw w powodzi prawd.

Statek wszedł na orbitę planety, podkłätwy skanowały księżyce. Tymczasem demony w kryształach sporządziły wielkoskalową mapę układu: sześć planet; cztery odleglejsze: zimne skały; jedna gwiazdzie bliższa: skała gorąca.

Czterech urwitów skłetych na wspomaganie w biernych telepatów nasłuchiwało myśli tubylców; ta czwórka była jednak monitorowana przez ludzi oraz demony i gdy natknęła się na pierwsze linie Pająka

Mózgu, natychmiast ją odcięto. Pająk był potężny, krył swą siecią wszystkie kontynenty. Puszczane po jego liniach mocy czary rewersyjne zapętlily się na pierwszych węzłach. Zaplanowane to zostało wręcz genialnie: Pająk rozplótl swą sieć sferycznie i chronił samo źródło klątwy, które znajdowało się gdzieś wewnątrz, na lub pod powierzchnią planety. Rzecz była nie do ruszenia.

Przyszło wybrać miejsce lądowania. Generał zaprosił Goulde'a, Zakracę oraz ducha zaklętego na stuprocentową medialność, więc już niemal czyste zawirowanie myśli, a to dla wprowadzenia elementu nekrompirii. Zagrał w trójwymiarową tabanę. Kryształ potem transponował plansze w mapę powierzchni planety. Wskazało na przylądek największego kontynentu, w okolicy równika: coś jakby tropik, sawanna łamana zagajnikami nibydrzew, wybrzeże nad płytką zatoką. Gonił ją właśnie terminator. „Jan IV” spikował w noc.

Uaktywnily się klątwy przeciwoporowe. Schodzili w atmosferę w grubym ochronnym bąblu rozwiniętych przez konstrukt statku czarów; żywe diamenty pulsowały wysoką częstotliwością poboru energii. Nie odczuli wejścia w pole grawitacyjne globu, bo zakłęcia deformujące ciężenie pracowały dalej. Z tego samego powodu nie odczuli neginercyjnego hamowania „Jana IV”, wykonanego dopiero kilkadziesiąt łokci nad gruntem, z potworną decelacją. Statek zawisł nad morzem czerwonej trawy.

Żelazny Generał, który sprzął się był z głównym konstruktem przez kryształ operacyjny, spuścił teraz ze smyczy z setką wycelowanych wcześniej myśli. Oglądane przez dymnik, wyglądało to niemal jak eksplozja konstruktów. Czary pomknęły na wszystkie strony. Pobór mocy skoczył do ośmiu jednostek. „Jan IV” budował wokół siebie magiczne fortyfikacje.

Ułamek knota później, na telepatyczny znak Generała, urwici uaktywnili dopalacze temporalne swych zbroi i w strumieniach przyspieszonego czasu wypadli na powierzchnię planety przez otworzone w wyższym wymiarze luki w powłoce „Jana IV”. Konstrukty zbroi utrzymywały w płytkim zawieszeniu każdy swojego zredukowanego Łobońskiego-Krafta, gotowe zatrzaskać je wokół urwitów w każdej chwili, na byle ślad śladu zagrożenia.

I znowu ten desant wyglądał przez dymnik niczym wybuch. Bluznęło bowiem wraz z urwitami setkami i tysiącami zaczepionych na nich czarów i klątw, aż cała okolica zapulsowała dziką płataniną nakładających się, przenikających i wzmacniających mageonomii. Urwici, wciąż na dopalaczach, niesieni zespołami dzinnów i własnymi rubinami psychokinetycznymi, mknęli ku wyznaczonym uprzednio stanowiskom; kilku poszło prostą świecą wzwyż, by domknąć z góry kopułę straży.

Demony kryształu przeanalizowały tymczasem zebrane bezpośrednio z otoczenia informacje i oznajmiły, iż nie doszukały się żadnego fałszerstwa we wcześniej otrzymanym z magicznego zwiadu jego obrazie. Żarny polecił więc obniżyć stopień gotowości bojowej i puścił duchy na regularny zwiad po okolicy, pęczniejącą spiralą. Potem sam wyszedł na zewnątrz.

Zakraca, w pełnym rynsztunku, stał przy podstawie pionu lewitacyjnego. Wyglądał jak skamieniały owad. Kodestruktor obracał mu się leniwie nad głową, szczerząc kły śmiertelnych klątw ku niewidocznym wrogom.

Wypuszczone z luków „Jana IV” samodzielnie decyzyjnie letalnatory kołowały po mroczniejącym szybko niebie, niczym padlinożerne ptaki nad przyszłym pobojuwiskiem; przez dymnik świeciły jasno diamentowymi sercami, od których szły sferyczne fale mortalnych czarów fizjologicznych.

Generał spłynął w trawę i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Tupnął, jakby próbując twardość ziemi; tak się próbuje wytrzymałość podłogi w starym budynku.

– A więc – stało się.

Zakraca, skupiony na dialogu ze swym demonem, przez którego nadzorował poczynania urwitów, odpowiedział Żarnemu jakąś niejasną myślą.

Generał wciągnął głęboko powietrze; smakowało świeżą farbą i swądem gaszonego ogniska. Rozejrzył się przez dymnik. Czary przesłaniały horyzont; od śmigających w trawie poltergeistów,

roznoszących po okolicy artefakty straży i walki, kręciło się w głowie. Złapał lewą dłońią czasoprzestrzeń, szarpnął i przeszedł po grzbiecie fali dwa węże włąb cypla, nad samą zatokę. Lewitujący tu nad urwiskiem klifu urwita na widok Żarnego spłynął na ziemię.

– Generale.

– Chciałem tylko popatrzeć na morze.

Morze było identyczne z ziemskim: te same fale, ten sam szum, ta sama nieskończoność i potęga natury.

– Myśli pan, generale, że kto to jest? – spytał urwita, rozemgliwszy przyłbicę; był młodym blondynem o garbatym nosie i rudych brwiach.

– Kto?

– Oni.

– Kim by nie byli, póki co – są wrogami.

– Ale jak wyglądają, co to za istoty, co oni...

– Nie wiem.

Odwiedził jeszcze kilka posterunków i w końcu wrócił pod „Jana IV”.

Słońce już zaszło, wszyscy przeszli na infrawizję. Urwici, którzy nie mieli służby w kordonie straży, rozeszli się po okolicy. W świetle fosforyzującego błękitnie brzucha statku ustawiono stół i kilkanaście krzeseł. Ktoś rozpałił ognisko. Opoдал zfantomizowano z pryzmatu iluzyjnego ostatni występ Ajarvianny. Pólnaga elfka śpiewała pod obcymi gwiazdami niezrozumiałą pieśń w umierającym języku.

Generał usiadł przy Goulde'em.

– Zakraca pozwolił na taki piknik? – mruknął. – Skąd to się wzięło? Takie rozluźnienie w środku operacji wojskowej. To niebezpieczne.

– Bez przesady – machnął fajką kinetyk. – Przecież widzę: obłożyliśmy się takimi czarami, że Ptak z całą armią by tu nie wszedł.

– Ptak by wszedł.

Goulde zerknął na hrabiego podejrzliwie.

– Coś cię gryzie? Cóżes taki ponury? Masz tę swoją planetę! Wiesz już, jak ją nazwiesz?

– Jeszcze się nie zastanawiałem – skłamał Generał.

Poltergeisty przyniosły z kuchni statku kolację. Dżinn gastronomiczny dopasował się do nastroju i zaserwował dziczyznę i bigos myśliwski. Zakraca przymknął oko na przemyconą beczułkę piwa.

Ajarvianna skończyła śpiewać i rozplakała się. Ktoś zaczął klaskać. Ktoś inny zanucił „Żywot urwity”. Generała coraz bardziej to wszystko irytowało. Bezustannie zaciskał i rozwierał swą magiczną dłoń, w rytmicznych skurczach lśniącej maszyny czarów.

– Na Boga, przecież to są żołnierze, weterani wielu bitew! – warknął. – Nikt jeszcze nie ogłosił zwycięstwa. Nie rozpoznaliśmy nawet nieprzyjaciela! Znajdujemy się na terenie tak obcym, że bardziej już nie można, szłogi od domu – a oni co? Nocną zabawę urządzają!

Goulde spojrzał nań spode łba.

– Widzę, że Kasmina nic ci nie pomogła. Te osiemset lat rzuca się jednak na umysł.

Żarny przekazał pułkownikowi obraz siwowłosego dziadka pouczającego dziecko z surową miną i palcem wzniesionym w górę.

Goulde się skrzywił.

– Powiedz lepiej, jaki masz plan.

– Plan jest prosty – rzekł Generał. – Znaleźć źródło tych wszystkich pułapek i blokad. A potem się okaże.

– Rzeczywiście, prosty. A jak właściwie zamierzasz je znaleźć?

– To tylko kwestia czasu. Duchy w końcu odbiją się gdzieś od ściany i tam uderzymy.

– Jesteś gotów z setką ludzi rozpętać międzygwiazdą wojnę?

Generał nic nie odrzekł. Wypił jeszcze piwo, przegryzł szynką i odszedł w ciemność.

Wyłączył dymnik i zablokował wszystkie niepotrzebne magiczne usprawnienia zmysłów. Słyszał teraz, jak wysokie źdźbła trawy szepczą, ocierając się mu o nogi niczym wierne psy. Zerwał jedno. Uschło mu na dłoni: w kilka knotów szerniało i zwinęło się w ciasną spiralę. Wyrzucił. Szedł dalej; a od ziemi – wciąż szepty. Tsz, tsz, szcz. Zobaczył nad wzgórzem płaski cień na niebie. Rzucił sobie na oczy Pożeracza Światła. To było drzewo. To znaczy: nie drzewo, lecz tutejszy jego odpowiednik. Koronę miał bezlistną, całą w różowej wacie oddychającego mięszu. Nic się w nim nie poruszało od wiatru; tylko to pulsowanie gęstego różu. Generał podszedł bliżej do rośliny. Czy to roślina? Magiczną ręką dotknął pnia. Poczul życie. Poczul myśli. Głęboki nawis drgającej waty opadł nad Żarnym jeszcze niżej. Generał wypuścił demona. Demon wzruszył mentalnie ramionami: dym przez palce. Nibydrzewo oddychało. Generał odstąpił. Nie moje życie, nie moja śmierć. Ono też cofnęło fałdę różu. Czy chciałeś, jak ja, jedynie dotknąć i zbadać nieznanne? Czy też chciałeś mnie zabić, połknąć, zniszczyć? Jesteś moim wrogiem? Co? Uśmiechnął się; mięsz pulsował. Generał dezaktywował Pożeracza Światła, noc ponownie zaćmiła mu wzrok. Przysiadł na ciepłej ziemi, w ostrej trawie, kilkanaście łokci od grubego pnia. Wiatr o nieprzyjemnym zapachu obmywał mu twarz. Zaciśnięta pięść cienia urągała niebiosom. Nienawidzisz mnie? Mhm? Nienawidzisz? Lecz co warta twoja nienawiść, jeśliś tylko drzewem?

•

Była to masakra. Tak się miażdży insekty między palcami. Aż do początku drugiej ćwierci knota, kiedy to włączył się Żelazny Generał. Wówczas masakra trwała dalej – odwróciły się natomiast gradienty śmierci.

Lecz przez tę pierwszą jedną czwartą knota ataku wyglądało to na absolutną klęskę. Obruszone na magiczne zapory „Jana IV” potęgi czarów były tak olbrzymie, że w statku popękały wszystkie cztery kryształy operacyjne; uwolnione niespodziewanie demony tylko powiększyły chaos.

Piętnastu z osiemnastu urwitów pełniących akurat straż na brzegach ochronnego bąbla zostało spalonych do wolnej plazmy zanim w ogóle zorientowali się, co się dzieje. Dżinny bojowe nieprzyjaciela weszły na klinach kilkunastopiętrowych kłątów rewersyjnych o wspomaganium równoległym trzech niezależnych układów żywych diamentów, nieprzerwanie ssących z serca gwiazdy jej gorącą krew. Natomiast czwarty układ żywodiamentowy ofensorów zawiesił funkcjonowanie swych kłątów wymiany termicznej i transmitował punktowo przed intruzyjne szpice czysty żar słońca. Przed takim atakiem powinny urwitów obronić algorytmiczne reakcje kłątów ich zbroi, wchodzących automatycznie w tryb maksymalnej akceleracji temporalnej i full-bilokujących właścicieli probabilistycznym rozrzutem w krzywe dookolne przestrzenie, otworzone wcześniej dla ich natychmiastowej ucieczki. Powinny; nie obroniły: wpychające się za dżinnami konstrukty inwazyjne uderzyły już sześciowymiarowymi zarodnikami pół chaosu, mocą zasysaną przez żywe diamenty rozwijając je w ciasne macierze entropijne. Czary urwitów skisły. Niektórych, już w postaci plazmy, bilokowało gdzieś poza horyzont. Dżinny na klinach gorących konstruktyw weszły w defensferę statku jak w masło.

W tym momencie pracowały już na najwyższych obrotach wszystkie reaktywne kłatwy obronne konstruktu „Jana IV” – to znaczy te, które nie wymagały stałego nadzoru kryształów operacyjnych. Poszedł bój na czystą magię; infernalne ognie gwiazdy, obracane w zimną energię, spływały na pole bitwy rwącymi strumieniami. Natężenie skoczyło wyżej bariery N'Zelma i żywe diamenty wywichnęły się w swych obejmach. Ich rezonans otworzył nad półwyspem z setką tak zwanych „czarów skażonych”, powstałych z bezmyślnych permutacji elementów prawidłowych formuł. Zaczęły więc odwracać się na niebie i ziemi kolory, negatywowały się obłoki i słońce; perspektywa już na wyciągnięcie ręki sprawiała wrażenie spaczony wielką skazą w grubym szkle teleskopowym; powstały wiatry, wichury – huragany!

– wyrwijące z gleby owe różowe drzewa wraz z korzeniami; szły przez powietrze fale dźwięków o różnych częstotliwościach, załamywane na obszarach obniżonego ciśnienia, gdzie pręły się szwy międzywymiarowe i grawitacja kruszyła kamienie. Dwóch urwitów zginęło właśnie w ten sposób, rozerwanych na części.

Reakcja reszty obrońców była, oczywiście, wolniejsza od reakcji konstruktu „Jana IV” – nawet pomimo ich maksymalnego przyspieszenia temporalnego. Niewiele mogli zrobić. Dymniki bojowe ukazywały im zmysłom chaos tak potężny, takie poplątanie czarów wroga, statku i letalnatorów oraz masy czarów „spudłowanych”, niczych mageowariacji na temat zniszczenia – że po prostu nie byli w stanie samodzielnie włączyć się do boju. Pozbawieni wspomagania demonów kryształów operacyjnych, zdać się musieli na swoje dżinny i klątwy rozpoznawcze: osobiste oraz artefakcyjne zbroi. Jednakże macierze entropijne rozwinięte przez konstrukty inwazyjne wgrzyły się już w najpierwotniejsze struktury niezaimpregnowanych nań czarów i teraz owe erodujące klątwy tylko potęgowały istniejące zamieszanie. Niektóre wskazywały urwitom jako wrogów ich towarzyszy; w ułamku knota wybuchały i gasły bratobójcze walki. Kolejne siedem trupów. Zaczęły erodować letalnatory; ponieważ na razie nie pokazał się ani jeden prawdziwy, materialny wróg, wszystkie obiekty rozpoznawane przez mageoalgorytmy letalnatorów jako żywe były ciałami imperialnych urwitów, i w nie też uderzyły. Następnym dwunastu urwitów skończyło się od nagłego spopielenia w ich żyłach krwi, zamrożenia mózgu, rozpuszczenia w osoczu toksycznej dawki hormonów, zgnicia wątroby i serca.

W chwili gdy do bitwy włączył się Żelazny Generał, przy życiu pozostawali jeszcze wyłącznie ci urwici, którzy nocowali we wnętrzu „Jana IV”. Jednak w owej chwili szpice konstruktyw intruzyjnych sięgały już ostatniej powłoki czarów statku i nawet zamkniętym w nim żołnierzom należało liczyć czas do śmierci na ułamki knota; miecz jest zawsze silniejszy od tarczy.

Generał pierwszą swą myślą uaktywnił całość zartefakceń swego ciała. Ręka stanowiła bowiem jedynie najbardziej widoczny element dokonanego przekształcenia organizmu. To, co widzieli ludzie, nawet szkoleni urwici, nawet Zakraca: hrabia Kardle i Bładysza w polowym mundurze generała Armii Zero – nie było niczym więcej jak wysuniętą ponad lustro wody głową smoka, mętnym odbiciem potwora w płynącej wodzie. Czasami coś tam migotało pod powierzchnią, jakieś wielkie, ciemne kształty – lecz zaraz zapominali, usuwali z pamięci, bo do niczego nie było to podobne, nie dało się nazwać, nie dało się porównać, kaleczyło wyobraźnię; poprzestawali na legendzie: nieśmiertelny Żelazny Generał, archetyp urwity. A on istniał naprawdę.

Ugiął czas i przestrzeń. Wszedł w chronosferę maksymalnego przyspieszenia. Tu ponownie ugiął czas i przestrzeń i otworzył drugą chronosferę. Powtórzył to jeszcze czterokrotnie. W końcu, zamknięty w temporalnej cebuli, tak wyprzedził resztę świata, że od uderzeń pojedynczych promieni światła pękała mu skóra. Zdał się więc w ekranowaniu zewnątrz na algorytmy ciężkich klątw ręki i otworzył im wejścia do swego żywodiamentowego tetradonu. Był to poczwórny nieskończony szereg żywych diamentów, sprzężonych fazowo co jeden wymiar wyżej. Kończył się i zaczynał w „kościach” palców lewej dłoni Generała; oprócz kciuka, którego rola była inna. Nieaktywny tetradon, jako układ zamknięty, był nie do wykrycia. Aktywny – powodował implozje kwazarów, eksplozje pulsarów.

Generał zacisnął lewą dłoń w pięść. „Jan IV” zwinął się w torus, zawirował, zmniejszył do ziarenka piasku i zniknął. Generał rozwarł lewą dłoń. Zdmuchnęło pierwszą warstwę cebuli temporalnej oraz wszystkie inne czary choralne i entropijne. Zacisnął dłoń po raz drugi. Okolica, aż do horyzontu, odbiła się półsferycznie na powierzchni postaci Żarnego i przeskoczyła na drugą stronę. Tysiące ton ziemi, powietrza, wody, roślin. Zgniółł je w swej ręce. Docisnął kciukiem: połknęła je czarna dziura jądra galaktyki.

Stał teraz na dnie wielkiego krateru zniszczenia, czarnej misy wnętrza planety, brutalnie oskalpowanej ze swej biosfery. Jeszcze osypywał się żwir, waliły skały, płynął piasek, grzmiała lava.

Promienie wschodzącego słońca z trudem przebijały się przez wiszący w powietrzu kurz i pył. Gdyby nie huragan, wzbudzony wybicciem nagłej dziury ciśnieniowej, nie dojrzałby nieba. Przez dymnik widział zimny płomień pulsującego boską częstotliwością tetradonu, jaśniejszy od krzywej pioruna, od nagiej gwiazdy.

Nim pierwsza z przełamanych skał dosięgła w swym upadku dna krateru – tak wolno, tak wolno spadały – Generał rozpostarł się na całą planetę, zamykając ją tym samym w lustrzanym odwróceniu swej temporalnej cebuli. Był teraz czasem czasu, zegarem zegarów. W jego dłoni obracało się robaczą ślamazarnością życie planety. Widział wszystko. Gigadymnik rozpisywał mu przed oczyma linie mocy. Generał spojrział i zacisnął dłoń. Planeta implodowała. Zanim jeszcze obrał do reszty swą temporalną cebulę, czarna dziura wyparowała.

Generał rozwarł pięść. Wypluło „Jana IV”. Zwinął się do jego wnętrza.

Goulde wrzasnął na jego widok.

– Arr!! Co...?!

Generał czym prędzej przywrócił stałą iluzję swej postaci.

– Aa, to ty... – odetchnął pułkownik. – Boże drogi, Żarny, co tu się...

– Wiem. Ilu w środku?

– Jesteśmy w próżni! – krzyczał kinetyk z fotela pierwszego pilota. – Autohermetyzacja! Kraft purpurowy! Schodzimy pod? Panie pułkowniku...?! Schodzimy pod?

– Potwierdzam. I Kosz/Piasek do oporu. – Wydawszy rozkazy Goulde odwrócił się z powrotem do Generała. – Co tu się, do ciężkiej...

Bilokował się do kopuły kinetyków Zakraca.

– Żyje pan, generale! – odetchnął. – Kryształ popękały i...

– Jedenastu – oznajmił Żarny.

– Co?

– Policzyłem. Mamy jedenastu urwitów na pokładzie, łącznie z nami. Tylu ocalało.

– Panie pułkowniku, ta planeta implodowała! – krzyknął ktoś z zewnątrz pomieszczenia, być może przez czar foniczny.

– Jaka planeta? – odruchowo odwarknął mu zdezorientowany Goulde, macając po kieszeniach za fajką.

– Zdrada – rzekł Żelazny Generał.

•

– Nic innego. Zastanówcie się. Oni czekali na nas.

– Kto? Przecież kollapsował pan ten glob, generale.

– Ni żywy duch... – mruzczał Goulde. – To prawda, zdrada oczywista; ale teraz szlag trafił wszystkie dowody i nic nie wskóramy.

– Nie żywy, to martwy – rzekł Generał i otworzył ramiona do inwokacji. Pozostali natychmiast zamknęli umysły. Żarny rozciągał sieć swych myśli, wabiąc w pułapkę duchy. – Jesteśmy wystarczająco blisko – mówił równocześnie – i nie minęło jeszcze tyle czasu, by zdążyli zatracić swe osobowości.

– Ale to niebezpieczne – wtrącił Zakraca. – Bo jeśli to jednak nie byli ludzie i jeśli nie była to zdrada...

Lecz oto już zmaterializował się pomiędzy rękoma Żarnego chorąży Iurga.

– Nie ty – szepnął mu Generał. – Odejdź, zapomnij, odejdź.

– Boli, boli, boliboliboli... – jęczał Iurga.

Żarny klasnął i widmo zniknęło. Potem ponownie rozłożył ramiona i powtórzył wezwanie.

Długo czekali. Wreszcie zakotłowały się cienie i skrzępy w sylwetkę człowieka. Twarz – jego twarz

nie należała do żadnego ze zmarłych urwitów Imperium.

– Mój! – krzyknął na ducha Generał. – Służ!

Widmu aż żyły wystąpiły na szyi i czole, lecz zgięło się w pokłonie.

– Kim jesteś? – spytał Goulde.

– Ja... ja... Haasir Trvak, Błękitna Kompania, Assagon... Puśćcie...

– Byłeś urwitą Ptaka?

– Ja jestem... Byłem, tak.

– Ptak was tu wysłał?

– Czekaliśmy... były rozkazy. Zabić wszystkich; żeby ślad nie pozostał i świadek nie umknął.

Wykonywaliśmy... rozkazy... Żeby was Bóg pokarał... puśćcie!

– Skąd wiedzieliście, że przylecimy? Kto przekazał informację?

– Nie wiem... Nie wiem! Przyszło bezpośrednio z kancelarii Dyktatora. Ćwiczyliśmy... potem teleportowano nas... tysiąc stu zginęło... mieliśmy czekać i... Takie były rozkazy, ja nic nie wiem.

– Samobójcza ekspedycja – mruknął Zakraca. – Ptak nie ma statków międzygwiazdnych, musiał się zdać na loterię teleportacji. Z powrotem też by ich nieźle przesiało. Zresztą zapewne nie było w planie żadnego powrotu; jak bez świadków, to bez świadków. Najwyżej teleportowaliby ich w jądro gwiazdy.

Żarny klasnął; duch zniknął.

– Więc?

– Zdrada.

– Zdrada.

– Kto?

– Bruda. Lub Orwid – rzekł Zakraca. – To oczywiste. Orwid mówił, że dopiero co znaleźli tę planetę.

A tamci mieli czas nawet na treningi.

– Wszystko z góry ukartowane – przytaknął Goulde.

– To był zamach na pana życie, generale – stwierdził z przekonaniem major. – Innego wytłumaczenia nie widzę. Żaden z nas nie jest aż tak ważny, by angażować dla jego zglądzenia podobne środki. Natomiast zabić Żelaznego Generała – no, to nie w kij dmuchał. Zabezpieczyli się na wszelkie możliwe sposoby. Pozbawieni wsparcia Imperium, pozbawieni nawet łączności, wzięci z zaskoczenia... praktycznie nie mieliśmy szans. Ta pułapka nie miała prawa zawieść.

– A jednak – powiedział Goulde spoglądając ponad fajkę na milczącego Generała – a jednak zawiodła. Kim ty jesteś, Rajmund?

– Tym, kim muszę być, by przetrwać – odparł hrabia. – Nikim mniej. A coraz trudniej mi uchodzić w oczach kolejnych skrytobójców za bezbronnego starca. Następnym razem zapewne eksplodują Słońce, aby mnie zabić.

– Jaki jest plan, generale? – spytał szybko Zakraca, by zmienić niezręczny dla Żarnego temat.

– A jaki może być? Podlatujemy na kontaktową z pełnym maskowaniem i podsłuchujemy. A potem się zobaczy.

Tymczasem Goulde, pykając spokojnie swą fajkę, otworzył telepatyczny kanał do Generała i, obłożwszy go ciężką blokadą mentalną, zapytał:

– Co mianowicie się zobaczy? Przecież ty wiesz, że to spisek. Ptak w przymierzu z Zamkiem. Założysz się, że Bogumił już nie żyje? Nie powinienes, nie powinienes pozwolić się im wepchnąć w ten cały podbój.

– Rozkaz.

– Wiem, że rozkaz. Ale – z czyjej inicjatywy? No niech zgadnę: Birzinniego. Co? Myle się może?

– Muszę mieć pewność.

– Pewność? To wszystko jest tak oczywiste, że aż chwilami nie chce mi się wierzyć w ich głupotę.

- Sugerujesz spisek pod spiskiem?
- Niczego nie sugeruję. Po prostu znam legendy o tobie; i oni też je znają. Jeśli Bogumił nie żyje...
- To co?
- Krew na ich głowy!

•

- Mów, Kuzo.
- Gdzie jesteście?
- Na tyle blisko, że możemy rozmawiać. Mów.

Major Kuzo na wielkim zdalnym zwierciadle mesy „Jana IV” otarł sobie pot z czoła. Był w swoim gabinecie na Trybie; widoczna za jego plecami przez okno koślawa skała Mnicha wyciągała przez szare trawniki krzywe pazury swego cienia.

– Zamach stanu, generale. Birzinni się koronował. Ma poparcie Ptaka. Oddał mu Pogórze i całe Chajtowle. I Magurę ze wszystkimi sąsiadującymi wyspami. Ptak zabezpiecza nowe granice. Podpisali układ. W Armjach przymus nowej przysięgi: albo złożysz, albo wynocha.

- Już wyegzekwowany?
- Częściowo.
- Armia Zero?
- Nie.
- A co z Bogumiłem?

– Birzinni zaprzecza. Ale nikt króla nie widział od czasu przejścia władzy. Najprawdopodobniej urwici Ptaka wyteleportowali go na śmierć.

– Jak u was na Trybie?

– Właśnie sobie o nas przypomnieli. Mamy termin za niecałe siedem klepsydr. Potem... Bóg jeden wie, pewnie zetrą nas na proch.

Generał obrócił się do Goulde'a.

– Za ile możemy najszybciej tam być?

– Najszybciej? – uśmiechnął się pułkownik. – Testowano ten statek już wielokrotnie, lecz górną granicę jego prędkości wciąż wyznacza jedynie strach testujących.

– Diamenty wywichnęły się podczas ataku na Zdradzie – zauważył jeden z urwitów.

– No to się wwichnęła.

– Trzymajcie się, Kuzo – rzekł do zwierciadła Żelazny Generał.

– Ba, żebym to ja wiedział, czego – mruknął major odwracając ponury wzrok.

– Mnie, Kuzo, mnie.

•

Przebili się w ostatniej chwili. Ledwie zamknął się za „Janem IV” Kraft Mnicha, dookoła Tryba zatrzasnęła się potężna wyrwidusza. Duchy szpiegowskie Kuzo poszły wstecz po jej liniach mocy i dotarły do Dźwierz, która była jednym z głównych miast Ligi – co stanowiło znak pomyślny, bo Tryba nie wymieniono w układzie podpisanym przez Birzinniego, najwyraźniej więc uzurpatorowi brakowało wiernych urwitów, skoro musiał się wysługiwać Ptakowymi, a wszak w ten sposób zaciągał u niego dług, okazywał swą słabość i tracił równorzędną pozycję.

Wyrwidusza, jako automatyczny inwokator do wszelkich dusz w żywych ciałach, uniemożliwiała bezpieczne opuszczenie księżycy, ale zarazem uniemożliwiała też inwazję nań; przejść przez nią były w stanie jedynie poltergeisty, demony, dzinny, istoty niższe oraz, jako się rzekło, wyzwolone od ciała

duchy.

– Chociaż... można ją obejść – zauważył podczas zwołanej rychło po jego przybyciu narady Żelazny Generał, na której, oprócz niego, Goulde'a, Zakracy, Kuzo i podporządkowanego mu minisztabu tutejszej imperialnej placówki Armii Zero, brało udział także dwoje przedstawicieli poddanej protekcji Mnicha załogi Krateru: re Quaz i kobieta-cywil zwąca się Magdalena Lubicz-Ankh, ponoć krewna samego Ferdynanda. Reprezentowali oni dwieście osiemdziesięcioro byłych obywateli Księstwa Spokoju, którzy znajdowali się teraz w tej śmiertelnej pułapce, i to poniekąd z winy Żelaznego Generała.

– A jeśli zaczną ją zaciskać...? – spytała Lubicz-Ankh, najwyraźniej zajęta własnymi myślami.

– Nasze diamenty powinny sobie poradzić – wzruszył ramionami Kuzo.

– Są może w stanie zablokować im transmisję energii ze Słońca?

– Za dużo zmiennych – pokręcił głową major. – Zawsze możemy przeskoczyć ich blokadę, nawet nie będzie zauważalnej przerwy w zasilaniu.

– Generał wspomniał, że zna sposób na obejście wyrwiduszy – podniósł głos Zakraca.

– Doprawdy? – uniósł brwi re Quaz.

– No przecież to oczywiste – rzekł Żarny. – Teleportacja.

– Uch.

– Loteria śmierci.

– Są lepsze pomysły?

– Zawsze można czekać.

– Przynajmniej żyjemy; jeszcze nas nie eksterminują. Po co z własnej woli iść na rzeź?

Generał spuścił krótki czar akustyczny.

– Ja będę teleportował – rzekł, gdy przebrzmiał dzwon.

– Daje pan gwarancję? – spytał re Quaz.

– Tak.

To zrobiło wrażenie.

Lubicz-Ankh aż pochyliła się nad stołem.

– Daje pan, generale, stuprocentową gwarancję przeżycia teleportacji?

– Tak.

W jednej chwili atmosfera zmieniła się z ponurego fatalizmu w ostrożny optymizm.

– Czy taki właśnie jest plan? – spytał Zakraca. – Ucieczka?

– Plan czego? – prychnął re Quaz.

Miał mu odpowiedzieć, Zakraca zwrócił się bezpośrednio do Żarnego.

– Czy pan się już poddał, generale?

Żelazny Generał uśmiechnął się, bo Zakraca zareagował dokładnie według przewidywań: on jeden nigdy nie tracił wiary w swego boga.

– To nie jest kwestia do omawiania w tak szerokim gronie. Ilu mamy urwitów na Trybie?

– Trzydziestu dwóch łącznie z nami i księżęciami – odparł Kuzo.

– Wystarczy.

Re Quaz wybuchnął gromkim śmiechem.

– W trzydziestkę będziecie odbijać Imperium...?!

– Pamiętaj o tych wszystkich urwitach tam, na dole, którzy nie złożyli przysięgi Birzinnemu.

– Skąd pan wie, może już złożyli, może już nie żyją; nie mamy przecież łączności, nie wiemy, co tam się dzieje, zagłuszają wszystkie transmisje, zabrali się też za duchy.

– Przekonamy się. Gdzie was przerzucić? Na Wyspy?

– Chyba tak.

– Dobrze. W takim razie... widzimy się w hangarze numer cztery za dwie klepsydry.

Re Quaz i Lubicz-Ankh uklonili się i wyszli.

Kuzo zablokował drzwi i uaktywnił konstrukt przeciwpodśluchowy sali.

– Da pan radę, generale? Tyle osób, w pojedynkę?

– Teleportowałem już całe armie, chłopcze.

Przypomnieli sobie legendy.

– A więc – jaki jest plan? – powtórzył Zakraca.

– Przerzucę wszystkich stąd na Ziemię. Tam się zorientujemy w sytuacji. W zależności od postawy Armii Zero, zarządzilibym mobilizację w Baurabissie i atak z zaskoczenia. To jest jeszcze początkowa faza zamachu, struktury nie zdążyły się umocnić, rzecz wciąż wisi na kilku-kilkunastu zdrajcach. Planuję jeszcze przed atakiem dopaść Birzinniego i resztę. Wtedy urwici zajmą Zamek i kluczowe punkty Czurmy. Przydałoby się też na przykład przycisnąć Pełzacza dla bezpośredniej transmisji.

– Dziwnie prosto to brzmi.

– W gruncie rzeczy cała sprawa polega na usunięciu Birzinniego i spółki. Wojska Ptaka są daleko od stolicy. Ludzie będą się musieli za kimś opowiedzieć. Z Zamkiem pójdzie najłatwiej, bo inercja biurokracji pomoże nam tak samo, jak pomogła wcześniej Birzinniemu. Co do motłochu, to tu nie można być niczego pewnym, ale nie sądzę, żeby ludzie pałali jakąś szczególną miłością do Birzinniego; Bogumił nie zdążył się jeszcze pospółstwu narazić, a Birzinni z pewnością musiał podczas przewrotu postępować zdecydowanie i możemy się tam spodziewać pewnej ilości świeżych trupów. A nawet gdyby nie – Pełczacz powinien temu zaradzić. Gdy ujrzą na niebie Birzinniego jako więźnia, upokorzonego... to wystarczy.

– To wciąż brzmi przerażająco prosto – kręcił głową Kuzo; ale i on się uśmiechał.

– Oni wcale nie przesadzili – odezwał się Goulde. – Powinni eksplodować gwiazdę Zdrady; to i tak byłoby tanio za twoją śmierć.

•

Birzinni wychodził właśnie z łazienki na królewskim piętrze Zamku, gdy ze ściennego zwierciadła o złoconej ramie wyskoczył przeciwko niemu Żelazny Generał.

Fantom! – pomyślał Birzinni.

– Żaden fantom – warknął Żarny, po czym złapał go lewą dłonią, ścisnął, wrzucił do ust i połknął. Następnie z powrotem wszedł w zwierciadło.

Miarkę później wybuchnął w swym gabinecie w Baurabissie. Zakraca czekał tu nań wraz z prawie całym sztabem Armii Zero. Żelazny Generał rozwinął się z punktowego błysku, w grzmocie rozprężającego się sferą powietrza.

Wymieniając z podwładnymi ukłony sprawdził konstrukty wieży. Nienaruszone. Tu mógł się czuć bezpiecznie: od dobrych kilku wieków nieprzerwanie rozbudowywał je i ulepszał.

– Złe wieści, generale – odezwał się pułkownik Ociuba.

– Mów.

– Może pan już wie. Birzinni rozkazał zabić Kasminę far Nagła, ciało spalić, prochy rozrzucić po sąsiednich wymiarach, a ducha skłąć na natychmiastową dezintegrację osobowości.

– Tak.

– Podobnie zresztą postąpił z kilkuset innymi osobami.

– Tak. Wiem. – Splunął. – Tu macie Birzinniego. – Splunął. – Tu Orwida. – Splunął dalej.

Wybuchali do trójwymiarowych postaci i padali nieprzytomni. Urwici blokowali im po kolei wszystkie zmysły. – Zatrzymajcie ich żywych; póki co, mogą się jeszcze przydać.

Urwici skinęli głowami w pół-ukłonie, pół-salucie.

– Zakraca przedstawił wam plan?

– Tak jest.

– Nie ma zmian; wszystko według harmonogramu. Klepsydra zero: trzydziesta siódma i ówierć.

Dżinny i poltergeisty na smyczach?

– Tak jest.

– Gdzie Pełzacz?

Jeden z urwitów wydał telepatyczny rozkaz.

– Będzie za chwilę.

– Dobrze.

– Panie hrabio – odezwał się generał Wiga-Wigoń, po Żarnym najstarszy wiekiem i stopniem urwita – pan wie o Bogumile. Wie pan o Annie i małej Archimacji. Oni też byli na liście. Mamy potwierdzenie od Wysokich Niewidzialnych. Wszyscy nie żyją; nierezurektowalni.

– Więc?

– Birzinni jest skończony; dobrze. Ale co po nim, skoro tak dokładnie uciął dynastię? Kto, kto po nim? Ptak nam stoi na granicach. Może się upomnieć o swojego sojusznika, zwłaszcza, gdy tron Havry będzie pusty.

– Więc?

– W pana żyłach, panie hrabio – pospieszył z pomocą Widze-Wigoniowi Zakraca – płynie krew Warzhadów. Co prawda pokrewieństwo to pochodzi sprzed setek lat – ale i tym szlachetniejsza to krew.

W moich żyłach, pomyślał mimowolnie rozbawiony Żarny. W moich żyłach. Ani one żyły, ani w nich krew; i doprawdy nic z Warzhadów.

– Major ma słuszość, przekonał nas wszystkich. – Generał Wiga-Wigoń zgiął się w pas, ukłonem zarezerwowanym dla monarchy; pozostali bez wahania powtórzyli hołd. – Po raz trzeci lud wkłada ci na głowę koronę i tym razem nie możesz, nie masz prawa jej odrzucić.

– Zakraca, Zakraca – westchnął Żarny – cóżeś ty najlepszego narobił? Trzeba mi było kollapsować cię razem ze Zdradą.

– Możesz mnie jeszcze kollapsować bez Zdrady, nie straconego – rzekł Zakraca. – Ale wpierw przyjmij koronę.

Żelazny Generał machnął ręką.

– Nie teraz, nie teraz; za wcześniej o tym. Nie dzielmy skarbów żywego smoka.

– Potem może nie być czasu.

– Teraz też go za wiele nie ma. Koniec zebrania! Na miejsca!

Urwici wyszli. Wychodząc, uśmiechali się jednak do siebie ukradkiem: nie powiedział „nie”.

Pełzacz minął się w drzwiach gabinetu z wynoszonym przez poltergeisty Birzinnim. Nie dał po sobie niczego poznać. Lecz wszedłszy, omal nie stanął na baczność; trwał w bezruchu i milczeniu, póki Żarny nie odezwał się pierwszy.

– Mam powody przypuszczać, że należałeś do spisku.

Stary elf tylko zamrugnął. – Nie należałem.

– Dam ci okazję, by tego dowieść.

I tym razem jeno drgnięcie powiek. – Dziękuję.

– Najlepsze, na co stać ciebie i twoich iluzjonistów.

– Na całą Czurmę?

– Na wszystkie miasta Imperium.

– To niemożliwe.

– To możliwe.

– Tak. Oczywiście. Kiedy?

– Dziś w nocy.

– Tak. Oczywiście. Mogę odejść?

– Moje demony pójdą z tobą.

•

A noc trwała i trwała. Od przesunięcia się terminatora przez Czurmę, w którym to momencie Generał rozpoczął był serię szybkich teleportacji, aż do dwóch klepsydr przed świtem, gdy niebo zapłonęło Pełzaczową iluzją, na ulicach miasta, w zaułkach, w parkach, w porcie i we wnętrzach budynków toczyło się zwykle nocne życie stolicy. Mieszkańcy przyjęli zmianę zaszłą na najwyższych piętrach Zamku z chłodem i spokojem właściwym starym wyjadaczom politycznego chleba. Postronny obserwator nie domyśliłby się z ich zachowania wydarzeń sprzed kilku dni – ani, tym bardziej, wydarzeń właśnie mających miejsce, jako że żadna z osób teleportowanych z Tryba nie wysunęła nosa na ulicę aż do początku operacji „Przypływ”, a sama operacja również nie trwała dłużej niż kilkanaście knotów i niewielu znalazło się bezpośrednich świadków poczynań urwitów. Przede wszystkim urwici z zasady preferowali działania nagłe a skryte; nadto w większości były one tak czy owak niedostrzegalne dla nie-urwitów lub osób pozbawionych artefaktycznych sybstitutów dymnika (jak, na przykład, popularne w wyższych sferach choć bardzo drogie, „białe okulary”).

W chwili zjawienia się tam Żelaznego Generała wraz z oddziałem z Tryba, w obrębie murów Baurabissu przebywało blisko tysiąc urwitów – i żaden z nich nie złożył jeszcze przysięgi Birzinnemu. W pobliskich koszarach oraz w swych domach na terenie miasta znajdowało się dalszych pięć tysięcy. W sumie stanowiło to ponad jedną trzecią Armii Zero, trzon korpusu urwitów Imperium, od samego jego stworzenia dowodzonego bezpośrednio przez Żelaznego Generała. Czy mógł on być z tego powodu pewny wierności każdego jednego urwity? Nie, oczywiście, że nie. Ale z dużą dozą prawdopodobieństwa sukcesu mógł stawiać na wierność urwitów jako społeczności: tradycja, której Żelazny Generał stanowił niewyrugowywalną część, konstytuowała pojęcie urwity równie mocno, co sama umiejętność posługiwania się magią. Sprzeniewierzając się jej – tradycji – sprzeniewierziliby się samym sobie, własnemu o sobie wyobrażeniu.

Do chwili zjawienia się Żelaznego Generała negocjacje pomiędzy Birzinnim a sztabem Armii Zero osiągnęły już ów charakterystyczny dla podobnych sytuacji martwy punkt, który oznaczał po prostu zabójczą dla wszelkiej dyplomacji konkretyzację „warunków nie do zaakceptowania” obu stron. Powszechne było poczucie pata: nikt nic nie zyska wychodząc poza, gdy stan aktualny lepszy od jakichkolwiek zmian. Żadna ze stron nie mogła się ni o krok dalej posunąć w ustępstwach nie osłabiając tym samym swej pozycji aż do niebezpieczeństwa całkowitej przegranej łącznie.

Oto bowiem Birzinni świadom był, iż nie posiada wystarczającej siły, by zmiażdżyć urwitów: posyłanie przeciwko nim zwykłego wojska nie ma najmniejszego sensu, a wyszkolonych do walki urwitów stało za uzurpatorem ledwo parę tuzinów, głównie byli to ludzie z Wywiadu, jako wyjęci ze struktury Armii Zero i podlegli bezpośrednio Głównemu Sztabowi, nie tak podatni na wpływy Żelaznego Generała – bardziej teoretycy, bardziej technicy, niż urwici jako tacy.

A i w Baurabissie istniała świadomość bezcelowości wszelkich radykalnych posunięć przeciwko obecnej ekipie władców na Havrze, bo aktualny kontekst geopolityczny raczej nie dawał nadziei na powodzenie przedsięwzięcia w perspektywie dłuższej niż kilkanaście dni: Ptak stał na granicach, Ptak przekraczał granice, a Ptak – co wydawało się oczywiste w świetle dopiero co ogłoszonego traktatu – był sprzymierzeńcem Birzinniego, i Ptak bez wątplenia dysponował wystarczającą liczbą wyszkolonych do walki urwitów. W owej dłuższej perspektywie zatem sytuacja nie prezentowała się dla Wigi-Wagonia i podwładnych dobrze: czas był przeciwko nim. W końcu przecież Ptak przyśle zdrajcy posiłki; może to nastąpić nawet wcześniej niżby się sam Birzinni spodziewał i pragnął, bo, w obliczu nie ustępującej słabości partnera, Dyktatorowi wreszcie zaświta, iż jednym posunięciem mógłby zgarnąć całą pulę –

i rzuci na Czurme swych urwitów, by „zabezpieczyć” miasto przed rebeliantami w Baurabissie.

Czy również Birzinni czuł to ostrze na swym gardle? A jeśli nawet – cóż mógł zrobić więcej, o ile dalej się posunąć, na jakie jeszcze ustępstwa pójść, gdy, jako się rzekło, nie pozostał mu w negocjacjach z Wigą-Wigoniem ni krok do ustąpienia...?

Wejście na scenę Żelaznego Generała zmieniło sytuację w stopniu zadziwiającym nawet Zakracę i Goulde'a. Przecież tak czy inaczej urwici powinni byli włączyć do swych kalkulacji powrót Żarnego; co prawda chodziły plotki o jego śmierci (zapewne rozpuszczane z rozkazu Birzinniego), ale takie plotki chodziły za każdym zniknięciem Generała, poza tym jasne było, że skoro „Jan IV” wyszedł poza zasięg luster, informacje te nie mogą być wiarygodne. Jednak powrót Żelaznego Generała zrobił takie wrażenie, jakby to co najmniej sam Lucjusz Warzhad powstał z martwych. Ledwo rozeszła się wiadomość, urwici w Baurabissie zaczęli rwać się do walki. Dla wszystkich stało się jasne, że w tym stanie rzeczy nie ma na co dłużej czekać, i cokolwiek ma być zrobione, zrobić to należy jak najszybciej, bo wkrótce powrót Żarnego przestanie być tajemnicą i utracony zostanie atut zaskoczenia. Żelazny Generał wyznaczył zatem termin ataku na jeszcze tę samą noc. Nikt się nie zdziwił, nie było sprzeciwów. – Oni potrzebowali tylko przywódcy, nazwiska, sztandaru – rzekł potem Zakraca. – Generał przywrócił im wiarę w przyszłość, otworzył jakąś alternatywę dla Birzinniego i Ptaka: legendy nie upadają, to nie do pomyślenia, jakoś to będzie, damy sobie radę, on nie przegra. To zresztą bardzo naturalny tok rozumowania.

Nie było zatem wahania, nie było mozolnych przygotowań; to nie miała być długa kampania, a właśnie błyskawiczna urwicka operacja. „Przyływ”. O wyznaczonej porze wyruszyły oddziały. Wszyscy w pełnym bojowym rynsztunku, wszyscy na temporalnych dopalaczach, w utrzymywanym przez demony sferycznym kamuflażu niewidzialności, w skrytych wewnątrz niego chmurach mikroletalnatorów, spiralach kriowęzy. Wcześniej wyleciały z Baurabissu dziesiątki tysięcy dżinnów i poltergeistów. – Tej nocy miasto należeć będzie do nas – rzekł Żelazny Generał w telepatycznym przekazie do swej armii. Żaden z mieszkańców Czurny nie dostrzegł urwitów, lawirujących po gwiaździstym niebie pomiędzy rydwanami, mknących przez noc na kształt ultraszybkich komet o warkoczach uplecionych z czarów i zaklęć. Lecz nikt akurat nie patrzył w odpowiednim kierunku przez dymniki lub ich artefakcyjne analogi, zabrakło czujnych magów.

Żarny wyruszył z oddziałem przydzielonym do szturm na Zamek. Szturm – to za dużo powiedziane. Rzecz właściwie polegała na zaskoczeniu i wyłączeniu z walki tych nielicznych urwitów i czarodziejów, którzy opowiedzieli się za Birzinnim. Reszta to kwestia zastraszenia – a w tym urwici byli naprawdę dobrzy.

Wyśledzone przez dżinny ofiary zaskoczone zostały w swych komnatach, przeważnie podczas snu, i zabite bądź zamrożone zanim zdołały choćby pomyśleć o obronie. Jedynie w pokojach Sztabu wywiązała się potyczka. Nieliczni jej świadkowie, nieurwici, zarejestrowali jeno urwane w pół otwarcia ust okrzyki, kilka nagłych ruchów. Nim mrugnęli, było po sprawie; wszędzie krew, zwłoki, popiół. Nad pobojo wiskiem stopniowo pojawiali się, zdejmując iluzję, urwici w swych zbrojach. Ścierwiczne roje letalnatorów śmigały nad posadzką od pokoju do pokoju, po korytarzach i schodach, szukając osób pasujących do zadanego im wzorca; co chwila jeszcze charczał ktoś w agonii. Dookoła jeńców wiły się błękitne kriowęzy, mróz szedł od zmrożeńców aż ścinała się i kruszyła wylana krew. Niektórzy z urwitów, jeszcze w cebulach temporalnych, błyskali tylko w przelocie kolorową plamą, pędząc do celu w otoczeniu poltergeistów chroniących ich przed zderzeniem z ruchomymi i nieruchomymi przeszkodami.

– Aaaaaaaarrrr!!! – wrzeszczał Lambreaux, gdy Żelazny Generał wyciągał mu z głowy po kolei wszystkie pięć demonów.

Nex Pluciński w swej komnacie na najwyższym piętrze Wieży Ivo usiłował popełnić samobójstwo, ale

odnalazły go i obsiadły jak muchy mikroletalnatory. Wypaliły mu nerwy mięśni rąk i nóg, aż przywłókł się przyprorowadzony przez poltergeista Żarnego kriowąż i zamroził Plucińskiego.

Kilka osób wyskoczyło z okien zamku, lecz złapały ich w locie dżinny. Wszakże jedna z tych, co wyskoczyły, była urwitą i natychmiast odpaliła ku morzu. Puściło się w pościg za uciekinierem dwóch urwitów Żelaznego Generała i wybuchła nad pełną statków zatoką krótka walka na kłatwy i kontrkłatwy, z góry przegrana przez uciekającego, który nie miał na sobie zbroi i walczył w znacznym opóźnieniu względem dwójki w pełnym rynsztunku. Wywrócili go na nice wzdłuż kręgosłupa, spadł do wody krwawą ośmiornicą kości, żył, ścięgien i mięsa. Spuścili za nim pneumoanalyzer, żeby rozłożył i zdezydentyfikował ducha zdrajcy.

– Miasto jest nasze – rzekł Żelazny Generał, gdy otrzymał już meldunki od wszystkich oddziałów. – Teraz administracja. – Zwrócił się do Zakracy. – Łącz. Wywiad. Tu mamy dziurę. Co robi Ptak. Powtórna deklaracja lojalności od wojska. Mobilizacja. Pilnujcie Pełacza. Niech się wykalibruje na ten tu balkon. Obsada Zamku. I tak dalej. Gdzie Wiga?

– Poleciał układać się z regularnymi.

– Dobrze. Znaleźć re Quaza, niech się wreszcie dowie, co z Ferdynandem. Otwarta propozycja negocjacji. Daję słowo; on wie, po Trybie nie będzie wątpli, zaręczy księciu, może także ta Lubicz-Ankh. Niech księżę wyjdzie z ukrycia. W końcu tu idzie o jego kraj. Sojusz dla odbicia. Jak to go nie zachęci, to nic nie zdoła.

– Tak jest. Jeden z Orwidowych prosi pana o spotkanie, generale. Podał hasło.

– Kto?

– Bruda.

– Dajcie go.

Żelazny Generał wszedł do sąsiedniej komnaty i zatrzasnął za sobą drzwi. Przez wyjście na balkon wpadał do środka nocny wiatr. Generał wciąż był w pełnym rynsztunku, który, choć w swej istocie diametralnie różny od standardowego rynsztunku urwity, wywierał podobne wrażenie: asymetryczna zbroja, z niewiadomych materiałów wykonane i niewiadomego przeznaczenia jej odrosty, szypułki, wypusty, macki, dysze, miniskrzydła, całe ciało ukryte we wnętrzu pełnego narośli pancerza; dwunogi owad. Generał zdjął hełm, odłożył na stół. W chrzęście i trzasku usiadł na krześle, krzesło też zatrzeszczało. Przez otwarte drzwi balkonowe widział niebo nad Czurmą, gwiazdy i przesłaniające je chmury, przeganiane wgląd lądu.

Wszedł Bruda.

– Zamknij drzwi.

Bruda zamknął.

Żarny uruchomił konstrukt przeciwpodśluchowy.

– Czy pan to zaplanował, generale? – spytał Bruda. Przekroczywszy próg zrobił zaledwie dwa krótkie kroki i stał teraz nieruchomo, oddzielony od Żarnego połową pustej komnaty, światłem i cieniem, i wbijał ponury wzrok w siedzącego przy zawalonym papierami stole hrabiego, który z twarzą pozbawioną najmniejszego wyrazu obserwował przepływ chmur po nocnym niebie, bardzo ciemnych.

– Czy pan to zaplanował? Ja muszę wiedzieć!

– Po co?

Bruda zacisnął pięści.

– Zdrajco...! – charknął strasznym półszepceniem gdzieś z głębi gardła. Pochylił głowę; patrzył na spokojnego Generała zmrużonymi, wściekłymi oczyma spod kruczoczarnych brwi, z twarzy krwią nabiegłej, obrzmiałej od gęstego gniewu.

– Czego ty chcesz, Bruda?

– Przecież wszystko wiedziałeś! Informowałem cię od roku! Znałeś wszystkie plany Orwida,

wiedziałeś, że znaleźliśmy tę 583B Ślepego Łowcy już miesiące temu, i że Orwid czekał tylko na znak od Birzinniego; wiedziałeś, wiedziałeś, że to pułapka i spisek Birzinniego i kliki. I co zrobiłeś? Nic! Nic! Tylko tym bardziej ich judziłeś. Nie ostrzegłeś Bogumiła. Nikogo nie ostrzegłeś. Jeśli to nie jest zdrada – to co to jest?!

– A gdybym ostrzegł – a przecież próbowałem, Bóg widzi, że próbowałem – to co by to według ciebie dało?

– Bogumił by żył! – splunął Bruda. – Myślisz, że nie widzę, co się tu dzieje? Myślisz, że nie słyszę rozmów? W duchu oni już cię koronowali!

– Ach, więc zrobiłem to dla korony, tak? Z egoistycznej żądz?

– Zaprzeczysz?

– Mój Boże, Bruda, cóż za rozkosz cię słuchać.

– Jeszcze kpisz!

Generał po raz pierwszy zwrócił spojrzenie na dalwidza. Skinął palcem i dzieląca ich przestrzeń skurczyła się: Bruda znalazł się nagle na wyciągnięcie ręki od Żarnego.

– I gdyby Bogumił żył – syknął hrabia – to co by to dało? Czy zażegnałby niebezpieczeństwo? Zgładziłby Birzinniego, zgładził współspiskowców? Ruszył na Ptaka? Wiesz dobrze, że nie; nic z tych rzeczy. To był słaby, słaby i tchórzliwy władca. Zły król, co boi się własnej potęgi. Każdym swym słowem, każdą decyzją zachęcał do zdrady – nie Birzinni, zdradziłby ktoś inny; nie Ptak i Liga, zaatakowałby ktoś inny. To nie jest kwestia osób, to kwestia czasu i okoliczności. Państwo znajduje się teraz w okresie starczego niedowład. A rządy takiego Bogumiła oznaczały jego śmierć, śmierć państwa. Jesteśmy pożywieniem dla politycznych drapieżników, oni tam właśnie wrywają z ciała Imperium kawały żywego mięsa.

– Więc władza musi przejść w ręce Żelaznego Generała, który jeden jedyny potrafi uratować kraj.

– Tak. Tak. Nie mogłem czekać dłużej. Bogumił do spółki z Birzinnim, a obaj wszak jedynie owoce swego czasu, zniszczyliby, zmarnotrawili dorobek dziesiątków pokoleń Havrańczyków.

– Więc śmierć dla nich. A dla ciebie korona.

– Nie możesz tego pojąć? Od setek lat służę temu narodowi, robię wszystko, by urósł w siłę i dobrobyt, strzegę go od nieszczęść, kieruję na spokojne wody, prowadzę w wojnach, wspieram w tragediach. Oni wierzą we mnie, wierzą w Żelaznego Generała; jestem ich godłem, jestem sztandarem, hymnem. Jakże mógłbym ich zawieść, pozwolić na upadek?

– Naród? – zaśmiał się Bruda. – Naród? I ty to mówisz, ty, ośmiusetletni mag? A cóż to jest naród? Havrańczycy...! Sięgnij pamięcią do początków, przypomnij sobie. Cóż wspólnego mają miliony zamieszkujące dziś ziemie Imperium z owym plemieniem znad zatoki, które dało nazwę państwu? Język? Religię? Tradycję? Kulturę? Ideologię? Wygląd? Nic, nic nie pozostało takie samo. Komu ty wierność przyrzekałeś, no komu? Warzhadom! Krwi! Nie jakiemuś abstraktowi, którego nie jesteś w stanie nawet zdefiniować i w stosunku do którego nie mają sensu pojęcia miłości, wierności, zdrady; wiernym można być jedynie jednostkom, i ty jednostkom wierność przysięgałeś. Krwi królewskiej przysięgałeś! To jest twoja wiara i twój herb: Strażnik Rodu. To jest prawda, którą wyznawał dotąd niezachwianie na równi najbiedniejszy żebrak i zasiadający na tronie; tego uczono każdego kolejnego dziedzica, od maleńkości, od niemowlęctwa powtarzano mu: to twój obrońca, to jest opoka, to jest ratunek, od wieków i na wieki wierny, odda życie, osłoni, jemu wierz, jemu wierz, jemu wierz; twoją twarz widzieli nad kołyską, ty ich uczyłeś, tobie w rękaw płakali; i Bogumił, także Bogumił, który, jak mówisz, był królem słabym i złym. Zasypiał ci na kolanach, sam widziałem. A ty co zrobiłeś? Żelazny Generale! – szydził Bruda. – Wydałeś na śmierć. Zdradziłeś! Żelazny Generale. Dla potęgi państwa, dla narodu. Dla swojej potęgi! Bo nie zniósłbyś klęski kraju, z którym jesteś tak silnie związany, z którego potęgą identyfikują twoją potęgę: Imperium – a więc Żelazny Generał. Zatem z egoizmu, z pychy. To

tylko my, krótkowieczni, musimy własne dłonie we krwi nurzać, własnoręcznie sztylet w plecy wbijać. Ty natomiast – ty, wystarczy, że po prostu poczekasz: w końcu wszystko samo wpadnie ci w ręce. Wszak to kwestia prawdopodobieństwa, rachunku możliwości zajścia danej sytuacji, okoliczności; i chociażby były one wysoce nieprawdopodobne, to przecież w końcu jednak ich doczekasz – i doczekasz. Bo nie szło ci o zamach w stylu Birzinniego, nie chciałeś zdobywać korony siłą czy intrygą; nie, twoje ambicje jeszcze większe: pragnąłeś tronu, lecz bez konieczności płacenia zań. Zdradzić króla, przechwycić władzę – a zarazem pozostać tym samym wysławianym dla swego honoru i wierności Żelaznym Generałem. Czy w ogóle do pomyślenia jest potworniejsza przewrotność? I jeszcze się usprawiedliwia, jeszcze patriotyzmem zasłania...! Naród! Dobrze sobie. Ludzie się rodzą; ludzie się mnożą; ludzie żyją i umierają. Na tej czy innej ziemi, pod tą czy inną władzą, z tym czy innym obywatelstwem; więcej i coraz więcej. Naród! Czy ty w ogóle ich zauważasz? Nie, ty widzisz wielkie liczby, miliony. Naród! Komu przysięgałeś? Jak mogłeś, jak mogłeś – wołał z nagłą rozpaczą – jak mogłeś zdeptać tak piękną legendę?! Kim ty w ogóle jesteś? Człowiekiem? Nie wierzę! Pamiętam, co mi mówiłeś. Na samym początku ręka. Ale mijają wieki i wieki, a ty się wciąż doskonalisz. Próbowałem spojrzeć w ciebie przez dymnik: blokady. Heksonami konstruowałem potężny wizualizator, o mocy deszyfrującej dziesiątków kryształów; przyszedłem wtedy z Orwidem z gotowym pierścieniem – uniósł dłoń: na palcu lśniła srebrna obrączka – i spojrzałem na ciebie, gdy wychodziłeś z komnaty. Czary, czary, czary, czary; wszystko czary. Twoje ciało to sploty klątw psychokinetycznych i sensorycznych, twoje myśli to kłębowisko demonów, jesteś jednym, wielkim, chodzącym zaklęciem, homeostatycznym zawirowaniem magii! Tak! Tak! Przestań się śmiać! Pluję na ciebie! Potworze! Najpierw dłoń; potem cała ręka; potem usprawnienia całego ciała; potem usprawnienia myśli. Kości słabsze, więc zastąpić zmrożeniami grawitacyjnymi. Myśli wolniejsze, więc przyspieszyć operatorami kryształowymi, wspomóc demonami, i jeszcze kilkoma, i jeszcze kilkoma; i zorganizować je w piętrowym mageokonstrukcie logicznym. Serce zawodne – niech poltergeisty przesuwają krew w mych żyłach. Ale żyły się starzeją – wspomóżmy je zafiksowując figury kinetyczne. Ale i krew już właściwie niepotrzebna, znajdzie się lepszy magiczny substytut. Co zatem pozostało? Co pozostało? Najpierwsze instynkty, dominanty wpisane w algorytmy klątw operacyjnych. Żąda siły. Duma. Imię: Żelazny Generał. Analog człowieka. Iluzja, iluzja, jesteś samopodtrzymującą się iluzją, iluzją dla otoczenia i iluzją dla samego siebie, bo sam wciąż myślisz – a raczej wydaje ci się, iż myślisz – że jesteś człowiekiem. Ale to nie ty. Nie ty. Rajmund Żarny nie żyje, umarł, zniknął, rozpląnął się, zdeintegrował po którymś z kolei czarze rzuconym na siebie samego, pewnie nawet nie zauważył, wyciekł sobie przez palce, roztopił w tym megamageokonstrukcie. Kogo ja oskarżam, kogo obwiniam? Jakże mogę od ciebie żądać uczciwości; sumienie jest zapewne niekompatybilne z kalkulatorem demonicznym, ty nie masz sumienia. Na co pluję? Na wiatr, na czar, na omam. Giń, przepadnij! Tfu, tfu, tfu!

Żelazny Generał zacisnął lewą pięść i Bruda implodował do wielkości ziarnka piasku. Żarny wyrwał mu duszę, a resztę teleportował w jądro Słońca. Duch złorzeczył mu w myśli. Generał rozłożył jego osobowość, a zanalizowawszy pamięć w poszukiwaniu potencjalnych zagrożeń, wymazał ją dokładnie; po czym wypuścił pustego ducha nad Czurmę. Następnie splótł wszechmysłową iluzję ciała Brudy, włożył w nią jednego demona, przekazał mu instrukcje dla odpowiedniego reagowania, dodał blokadę przeciwdymnikową – i kazał iluzji wyjść z komnaty, wyjść z Zamku i utopić się w zatoce. Iluzja wyszła.

Przez otwarte przez nią drzwi zaglądnął Zakraca. – Można?

– Co jest?

– Ferdynand odpowiedział. Gotów do rozmów, re Quaz mu zaręczył. Chce wiedzieć, jaki będzie status tych rokowań.

– To znaczy?

– Pan wie, co to znaczy, Generale. On pyta o koronę.

- Ech, Zakraca, Zakraca, nie dasz ty mi nigdy spokoju.
- Nigdy, królu – uśmiechnął się major.
- Powiedz mu co trzeba, żeby się zgodził.
- Więc tak?
- Jak rozmowy Wigi?
- Po oficjalnej proklamacji nie powinno być najmniejszych problemów. Lepiej by się pan z nią

pospieszył.

- Nie poganiaj mnie. Pełzacz jest podpięty pod lustra?
- Tak, standardowy ornament.
- Skontaktuj się z krasnoludami z mojej linii i zacznij przerzucać pod Przełęczę sprzęt i prowiant.
- Na ile ludzi?
- Na armie, Zakraca, na armie.
- Pójdzie kontra.

– Ano pójdzie. Ptak nie zatrzyma ani stopy ziemi Imperium, tego możesz być pewien. Rozumiem, że mobilizację ogłosił już Birzinni; utrzymujemy ten stan. Zacznij przemyśliwać nad koncentracją sił, przydziel ludzi i demony do logistyki, chcę, żeby to poszło piorunem.

- Tajes, wasza miłość.
- Odejdź już, hrabio.

Zakraca zamrugał, by zamaskować nagłe wzruszenie, skłonił się głęboko i odszedł.

Zakraca, Zakraca, westchnął w duchu Żarny, co ja bym bez ciebie zrobił. Kogóż innego mógłbym być tak pewien, że natychmiast przypomni sobie o moim pokrewieństwie z Warzhadami i zacznie agitować za koroną dla mnie zanim sam choćby słowo na ten temat rzekną? A przecie rzecz nie mogłem. Zaiste, ty mi włożyłeś tę koronę na głowę, ty, ty, majorze, przyszedł hrabio, przyszedł senatorze i Radco Korony. Musiałeś przeżyć, byłeś mi niezbędny tak samo jak Birzinni, może nawet bardziej. Żal tylko, że nie mogłem ukryć lub zabrać na „Jana IV” Kasminy. Ach, ta jej dziecinna przekora, te humory... Gdyby chociaż duch... Ale nie, Birzinni był skrupulatny; należało się zresztą tego spodziewać. Nieuniknione koszta. Podobnie Bruda. Żal, naprawdę żal, doprawdy kryształowej uczciwości był to człowiek; nawet nie pomyślał, że mogę go zgładzić, i nie zabezpieczył się jakimś pośmiertnym szantażem.

Żelazny Generał otworzył przez naścienne zwierciadło połączenie z Pełzaczem.

- Monitoruj ten ganek – wskazał Żarny za siebie. – Startuj gdy wyjdę. Nie czekaj na znak.
- Generale – zgiął się Pełzacz – domyślam się, że nie chodzi jedynie o obraz.

– Dokładnie. Sam zająłbym się fonią, ale przecież nie rozmnożę się i nie sięgnę równocześnie wszystkich miast, a ty masz filie prawie wszędzie.

– Jest noc. To pobudzi ludzi. Będzie zamieszanie. Na takie przestrzenie muszę uderzyć potężną falą. Mogą pójść szyby.

- Nie przejmuj się – rzekł Żarny kończąc rozmowę. – Biorę wszystko na siebie.

Zamknawszy połączenie, zdjął Generał na moment mentalną blokadę z komnaty i wydał krótką myślą rozkaz przyprowadzenia Birzinniego. Po chwili otworzyły się drzwi i wleciał on do środka głową naprzód. Żarny odprawił poltergeisty i przejął bezpośrednią kontrolę nad sparaliżowanym. Odblokował mu wzrok i słuch, przywrócił władzę nad mięśniami twarzy. Birzinni mrugał wściekle kolebiąc się w powietrzu na wysokości ramion Generała, z oczu płynęły mu łzy.

- Each... – jęknął. Uniósł wzrok, skrzywił się. – No i co teraz..? Hę?

Generał skinął palcem. Na stole skrzępył iluzje korony Imperium i czerwono-złotej płaszcza Króla Havry.

Birzinni zaklął.

- Sycisz się zwycięstwem, mhm? Ptak nie dał ci rady. Ha, Warzhad, Warzhad. I co zrobisz? Uderzysz

na niego, rozpętasz wojnę? Tak, teraz już na pewno... – Pokręcił głową; uśmiech goryczy wykrzywił mu usta. – Będzie sąd? Będziecie sędzić zdrajcę? To wam powiem... Powiem ci: to wy jesteście zdrajcami! Imperialiści czasów Lucjusza, Ksawerego, Antoniuszów. Czy nie rozumiecie, do czego to wszystko prowadzi? Do samozagłady! Musiałem usunąć Bogumiła, bo on nigdy by nie zrozumiał; wyrósł w twoim cieniu, myślał według twoich schematów, i nawet gdy ci się sprzeciwiał, robił to z przekory, zawsze przez odniesienie do ciebie. Nigdy nie zdołałbym go w pełni kontrolować. Ostatecznie też skończyłoby się to katastrofą. Teraz skończy się tak na pewno. Rozpętasz wojnę, której nie będziemy w stanie wygrać. Nawet ty, nawet ty, Żelazny Generale, nie wygrasz jej, bo to niemożliwe. Gdyby było na Ziemi więcej kontynentów... ale jest tylko ten jeden. Co zrobisz? Zgładzisz wszystkich, którzy znajdują się poza aktualnymi granicami Imperium? Musiałbyś eksterminować cztery piąte ludzkości. Zrobisz to? Taa, wierzę, że jesteś do tego zdolny. Ale nawet gdyby – nawet gdybyś to uczynił, i tak nie utrzymasz *status quo*. Bo to jest już zupełnie inna Ziemia. Czy ty tego nie pojmujesz? Jak możesz być tak zaślepiony? To nie są już czasy ekspansji Imperium, podbojów i odkryć, polityki walki o ziemię, przywileje czy prestiż. Tamta epoka minęła. Sięgnęliśmy w swym rozwoju granic, horyzonty zaszły na siebie, planeta leży nam na dłoni, stanowimy – my: ludzkość; my: cywilizacja – zamknięty system, do którego nie wejdzie już żadna nowa zmienna. Nic już nie jest „poza”. Nikt już nie jest „obcy”. Żadne imperium nie jest samowystarczalne i niezależne. Głód w Księżstwie, zaraza pośród ludów Ligi – tak samo uderzają w nas, chociaż to niby oni, nie my, cierpią. Żebyś ty chociaż pochylił się nad ekonomią! Ale to zawsze było powyżej twojej godności, liczby, papiery, buchalteria, nędzne kupiectwo, zostawić to chłopom i krasnoludom – znowu jakiś umysłowy archaizm, głupota starożytna. Wojna, akurat! W jakim świecie ty żyjesz? Teraz to ja, teraz tacy jak my, arystokracja pieniądza, generałowie spółek, to my toczymy śmiertelne wojny w imieniu Imperium, a nie ci twoi urwici. Gdybyś chociaż chwilę poświęcił na zastanowienie się nad ekonomią... Czekają nas kollapse gospodarczy, zapaść, z której możemy się nie podnieść. Nie jest możliwe utrzymanie Imperium takiego, jakie hołubisz w swym wyobrażeniu ty; nie możemy zamknąć się w samotny, pojedynczy organizm, pożerający własne odchody. Nam do przeżycia potrzebny jest właśnie Ptak, Liga, potężna Liga, chłonny rynek zbytu, i te setki milionów taniej siły roboczej, i wtórny zewnętrzny obieg, i enklawy ekonomiczne ich państw. A ty, co ty robisz? Rozpoczynasz krucjatę w imię ideałów feudalizmu! Niewolników chcesz z nich zrobić? Niewolników? To nas zabije! Nie pojmujesz tego? W ciągu dwóch pokoleń Imperium rozłoży się jak zgniły trup. Którym, po prawdzie, już jest. Generale, na Boga, pomyśl choć przez chwilę! Pomyśl! Co ty najlepszego robisz? Ptak jest nam potrzebny! Liga jest nam potrzebna! Daj im ziemię, daj dostęp do surowców, otwórz linie kredytowe...! Generale! Nie, to bez sensu... Ty nie jesteś w stanie zrozumieć. Nie potrafisz przestawić swych myśli; żadna nowa koncepcja nie ma do ciebie dostępu, rozumujesz tymi samymi sztywnymi algorytmami, co przed setkami lat. Jesteś stary, wiem, jesteś stary, ale przecież starość nie oznacza głupoty, tym bardziej, że ty właściwie się nie starzejesz – dlatego zatem nie jesteś w stanie przyswoić sobie żadnych nowych idei, zrewidować choć odrobinę swój punkt widzenia, pozwolić wpłynąć na siebie epoce? Przecież gdy formowałeś Armię Zero okazałeś elastyczność na tyle, by podporządkować się nowym strategiom wojen urwickich; choć, w istocie, kiedy to było, wieki temu. Ale potem – jakby ci ktoś umysł zamroził. Potrafisz tylko piętrzyć zaklęcia, doskonalić te swoje czary. Ale zrozumieć świat – to przekracza twoje zdolności...! Generale! Zdobądź się choć raz na ten wysiłek! Nie gub Imperium! ...Ale widzę, że jak do ściany. Stary matoł. A ciesz się, ciesz, skurwysynu jeden, zdrajców złapałeś, o tak, zdrajców, zdrajców, następny tryumf niezłomnego Żelaznego Generała, honor i krew, sztandary, hymny, hurra, urwici, Bóg pobłogosławi, dalejże, w imię Generała, za Imperium, a jakże, krew i pioruny – zaplawał się Birzinni – honor ponad wszystko, nie ustąpimy ni kroku, kto nie z nami, ten przeciw nam, a co, bić ich, bić, lby im poucinać, wyrznąć draniów dla ojczyzny ukochanej, wy idioci, wy debile, patrioci z kurnych chat, wy kretyni...

– Sami tu, widzę, bohaterowie i męczennicy – mruknął Żelazny Generał, po czym zamroził krtań Birzinniego.

Wstał. Policzył do trzech. Wyszedł na balkon.

Niebo wybuchnęło Generałem. Zmiotł gwiazdy, księżyc, chmury. Był tylko on. Wielka, kanciasta postać w nibyurwickiej zbroi; smok metalu i płótna na tle kosmosu. Gdy otworzył usta, od siły jego słów strącało liście z drzew.

– Havrańczycy! Obywatele Imperium! Skończyły się rządy zdrajców! Spiskowcy wpadli w ręce sprawiedliwości i nie minie ich kara!

Birzinni, zgięty polami psychokinetycznymi w pół, na kolanach, z rękoma ściągniętymi za plecy, wpełzł na balkon. Żelazny Generał złapał go za włosy i szarpnął głowę wwyż, by ukazać na ponadmiejskim niebie oblicze byłego pierwszego ministra. Birzinni wykrzywił twarz w grymasie bezsilnej wściekłości, szczyrzył zaciśnięte zęby, mrużył wilczo oczy.

Żarny czekał aż ulice zapełniły się mieszkańcami. Odczekał jeszcze chwilę dla spóźnionych w innych miastach, których reakcji nie znał.

– Oto zdrajca! Oto morderca króla Bogumiła!

Lud zaryczał.

– Co mam uczynić z królobójcą? Czy godzi się darować mu życie?

Lud zaryczał. Słów wykrzyczanych nie dało się rozpoznać, ale intencja była oczywista.

Generał uniósł lewą dłoń. Wystrzeliła zeń klinga oślepiającej bieli – niebo zapłonęło blaskiem przewyższającym słoneczny, Czurma zamieniła się w labirynt światła i cienia. Generał machnął ręką i odciął głowę Birzinniego. Klinga zniknęła. Oślepieni, dopiero po chwili ujrzeli wzniesiony w prawej dłoni Żarnego czerep; pomimo skauteryzowania ogniem magicznego ostrza, ciekła zeń krew. Żelazny Generał stał w bezruchu z ręką w górze. Szara statua. Krew kapiała.

Lud znowu ryczał.

– Śmierć wszystkim wrogom Imperium! – krzyknął Żarny.

– Śmieeeeeeré!!

– Śmierć Ptakowi!

– Śmieeeeeeré!!

– Jam jest Żelazny Generał, ostatni z Warzhadów! – Odrzucił precz głowę Birzinniego. Z wnętrza komnaty wyfrunęła korona i czerwono-złoty płaszcz. Korona opadła wolno na skronie Żarnego, płaszcz zapiął się na jego zbroi, spłynął po nieboskłonie miękkimi fałdami. – Zetrę nieprzyjaciół! Odzyskam ziemię! Przywróćę czasy dawnej chwały! Na mój honor przysięgam!!

Lud ryczał.

*Jacek Dukaj
wrzesień 1996 – sierpień 1997*

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)